



ALMANAX

GOES CREEPY

2021 VOL. 1

ZESZYT SPECJALNY NR 2





Stopka

AlmanaX Studencki

Almanach Twórczości Artystycznej Studentów Uniwersytetu Gdańskiego

Zeszyt Specjalny Nr 2. AX Goes Creepy

Koło Naukowe Teoretyków Literatury UG
Pracownia Historii i Teorii Fantastyki

Patronat:

Wydział Filologiczny UG
Instytut Filologii Polskiej UG

Redakcja: Michał Bolek (Dział Przekładu), Joanna Danowska (Działy Grafiki i Fotografii), Patryk Dzikiewicz, Szymon Kamiński (*Social Media*), Alicja Smaruj, Paulina Sokólska (Dział Prozy „W stronę liryki”), Dominika Plaskota, Marysia Wrzeszcz (Dział Poezji), Aleksandra Zdanowicz, Maciej Dajnowski (Hub Komunikacyjno-Logistyczny), Max Dainoffsky (Redaktor Numeru)

Adiustacja, korekta, redakcja: Zespół

Typografia i skład: *Sophrosyne DIY*

Concept art i oprawa graficzna: *Yōkai DIY*

Okładka:

Frankenstein's Bride [*Narzeczona Frankensteina*],
reż. James Whale, zdj. John J. Mescall, Universal 1935.

Pestilentiae Anno Secundo

Gdańsk MMXXI

© Ola August, Michał Bolek, Krystian Chudzikiewicz, Ida Cylwik, Bartosz Dłubała, Krzysztof Iwin, Jakub Kraszewski, Selma Lagerlöf, Marcin Makara, Dominik Raciński, Karolina Rutkowska, Julia Rynkowska, Ula Sikora, Paulina Sokólska, Marcin Świerczyński, Anna Terlecka "Wadera", Jakub Wedeł, Aleksandra Wucka

© Almanax Zespół

Modelki: Ida Cylwik, Kamila Rutkowska, Karolina Rutkowska, Weronika Szpuła, Bogumiła Waśko, Maksym Dworcow, Damian Kowalski

Dynie: design, curving & photo – Yōkai

Wszelkie reprodukcje rysunków, malarstwa, grafik, fotografii zostały użyte w celach wyłącznie edukacyjnych i jedynymi dysponentami praw autorskich są ich właściciele.

W składzie wykorzystano następujące darmowe fonty:

aztec, Beauty, Fette Classic UNZ Fraktur, Fisherman, Go Go Sports, Greek Art, Hot Air Balloons, Ice-egg Futhark Runes, Inga Stone Signs, Khosrau, Mayan, Meroitic – Hieroglyphs, Monocracy Cuts and Clips, NegativeFilm, Prehistoric Paintings, SL Rock Art, Total Floral, WC Fetishist Bta, Younger Futhark Short Twig

Numer zamknięto 31 października 2021 r.

Kontakt i socjale:

e-mail: almanax.redakcja@gmail.com

FB: <https://www.facebook.com/Almanax-100172365560354>

Messenger: m.me/100172365560354

Instagram: [@almanax.almanach](https://www.instagram.com/almanax.almanach)

Tumblr: <https://almanax-almanach.tumblr.com/>

WWW: https://fil.ug.edu.pl/wydzial_filologiczny/instituty/institut_filologii_polskiej/dzialalnosc_institutu/kola_naukowe/kolo_naukowe_teoretykow_literatury_ug



SPIIS TREŚCI

| | |
|--|------------|
| Spis treści | 4 |
| Wstępniak | 6 |
| POEZJA..... | 8 |
| Ula Sikora, <i>Wiersze</i> | 9 |
| PROZA..... | 15 |
| Marcin Świerczyński, <i>Nosferatu</i> | 16 |
| Paulina Sokólska, <i>Horror vacui klasy B albo Stowarzyszenie Nieumarłych Poetów</i> | 23 |
| Bartosz Dłubała, <i>Przybysz</i> | 37 |
| Dominik Raciński, <i>DJUNGELSKOG</i> | 44 |
| Julia Rynkowska, <i>Operowy upiór</i> | 51 |
| PRZEKŁAD..... | 65 |
| Selma Lagerlöf, <i>Upiorna ręka</i> (przeł. Michał Bolek) | 66 |
| INTYMISTYKA..... | 75 |
| Marcin Świerczyński, <i>Narodziny</i> | 76 |
| SNY, ZWIDZENIA, PREKOGNICJE..... | 79 |
| Jakub Wedeł, <i>Sentyx</i> | 80 |
| SCENARIUSZ..... | 89 |
| Jakub Wedeł, <i>Martwy Tom</i> | 90 |
| GRAFIKA..... | 100 |
| Jakub Kraszewski, <i>Rysunki</i> | 101 |
| Paulina Sokólska, <i>Rysunki</i> | 108 |
| MAQUILLAGE..... | 112 |
| Ida Cylwik, <i>Autorskie projekty charakteryzacji scenicznej</i> | 113 |
| Karolina Rutkowska, <i>Autorskie projekty charakteryzacji scenicznej</i> | 118 |

| | |
|---|------------|
| FOTOGRAFIA..... | 128 |
| Aleksandra Wucka, <i>Fotografie</i> | 129 |
| Ola August, <i>Fotografie</i> | 133 |
| Jakub Wedeł, <i>Fotografie</i> | 135 |
| Ula Sikora, <i>Projekt video-poetycki - screeny</i> | 140 |
| PLEBISCYT..... | 143 |
| Najlepsze kadry niemieckiego ekspresjonizmu filmowego | 144 |
| SYLWETKI..... | 148 |
| Pomór | 149 |
| WYWIAD..... | 158 |
| <i>Rażeni prądem</i> | |
| Marcin Makara rozmawia z Tumanem Ajarą, liderem zespołu Iron Midzen | 159 |
| Noty biograficzne..... | 165 |
| W przygotowaniu..... | 168 |



WSTĘPNIAK TO JEST PROLEGOMENON

Będzie krótko, bo ten skandal nie zasługuje na zbyt wiele słów.

Z oburzeniem dowiedziałem się, że mam napisać artykuł wstępny i własnym nazwiskiem sygnować zdegenerowane i obce kulturowo treści, które PT Kolektyw Redakcyjny (tфу!) łaskaw był pomieścić na niżej prezentowanych stronach. Ponieważ nie mam z tym przedsięwzięciem nic wspólnego, wyluszcze poniżej (krótko!), dlaczego kulturowanie Halloween i podobnych (tфу!) świąt (nic w tym świętego, powinny nazywać się „przeklęta”!) się nie godzi w Narodzie, który – przypomnę – dał światu Kopernika, Heweliusza, Chopina, Curie i wiele innych nazwisk, których w tej chwili akurat nie pamiętam, ale można sprawdzić w Internecie.

1. Dynie wyhodowali Indianie w Indiach. Polskim warzywem narodowym jest burak. Przypis erudycyjny – podaję przepis na sałatkę z buraka. Dwa polskie buraki ugotować w skórkach, ostudzić, obrać delikatnie, pokroić w drobną kostkę. Ćwiartkę, najwyżej połowę, polskiej cebuli posiekać drobno. Wymieszać. Posolić solą z Wieliczki. Dodać polskiej śmietany 12%. Jeść, rosnać w siłę i dumę.
2. Inne polskie warzywa: ćwikła (żona buraka) i Rzepicha (żona Piasta).
3. Też ziemniaki się nadają. Przynajmniej nie wyhodowali ich Indianie w Indiach.
4. Michael Myers to nie jest prawdziwe imię świętego Mikołaja.
5. „Sławianie, my lubim sielanki”. Nie lubim my horrory.
6. „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie”. I niech tak będzie!
7. Popkultura zżarła wam mózgi!
8. I postmodernizm.
9. Ilgès czy Дзяды czy Діди (w niesłusznie spolonizowanej wersji – Dziady) to też nie jest tradycyjne święto, tylko litewsko-białoruskie. Wymyślili je Indianie w Indiach.
10. Popcorn robi się z kukurydzy, a kukurydzę wymyślili Indianie w Indiach.
11. Piwo robi się z jęczmienia... a... a to akurat nie.
12. Pizzę wymyślili ci w Neapolu, a wiadomo. Prawie jak Indianie w Indiach.
13. Polską pizzą jest rosół z kury. W wazie. A w wazie nie można wyciąć dziur jak w dyni, bo się polska pizza wyleje na obrus.
14. Szatana wymyślili Persowie, a Persja to właściwie to samo, co Indie.

15. Też nie lubię dżezu. Wymyślili go Murzyni w Indiach.
16. Jedyne dobry film, to *Egzorcysta*, bo to jest naprawdę. A reszta to są zmyślenia i głupoty. I w ogóle nieprawda, i dlatego bardzo groźne dla młodych umysłów. Bo ktoś może pomyśleć, że te wszystkie wymysły i zmyślenia, i kłamstwa to prawda. Te wszystkie wasze *Gwiezdne wojny*, *Terminatory*, *Żółte łodzie podwodne* i całe to science fiction.
17. Jeszcze też nie lubię, albo nie, napiszę wam mój wiersz.....

Uff! Dojechali na czas. Na szczęście silne chłopcy. Red. Max chwilowo przebywa w innym ośrodku i nieprędko dokończy wstępniak. Zainteresowanym losami prowadzącego numer możemy zdradzić tylko, że podobno podaje się za niejakiego doktora Loomisa i non stop krzyczy „Evil! Evil! Vade retro! Wiedz, że coś się dzieje!”. Robota przy AXie, jak widać, trochę wyczerpuje. No dobra, zostawiamy, jak jest, bo szkoda czasu. Nie spać, zwiedzać. Czytać, komentować, hejtować.

– przypisek redakcyjny nieznanego autorstwa



POEZJA



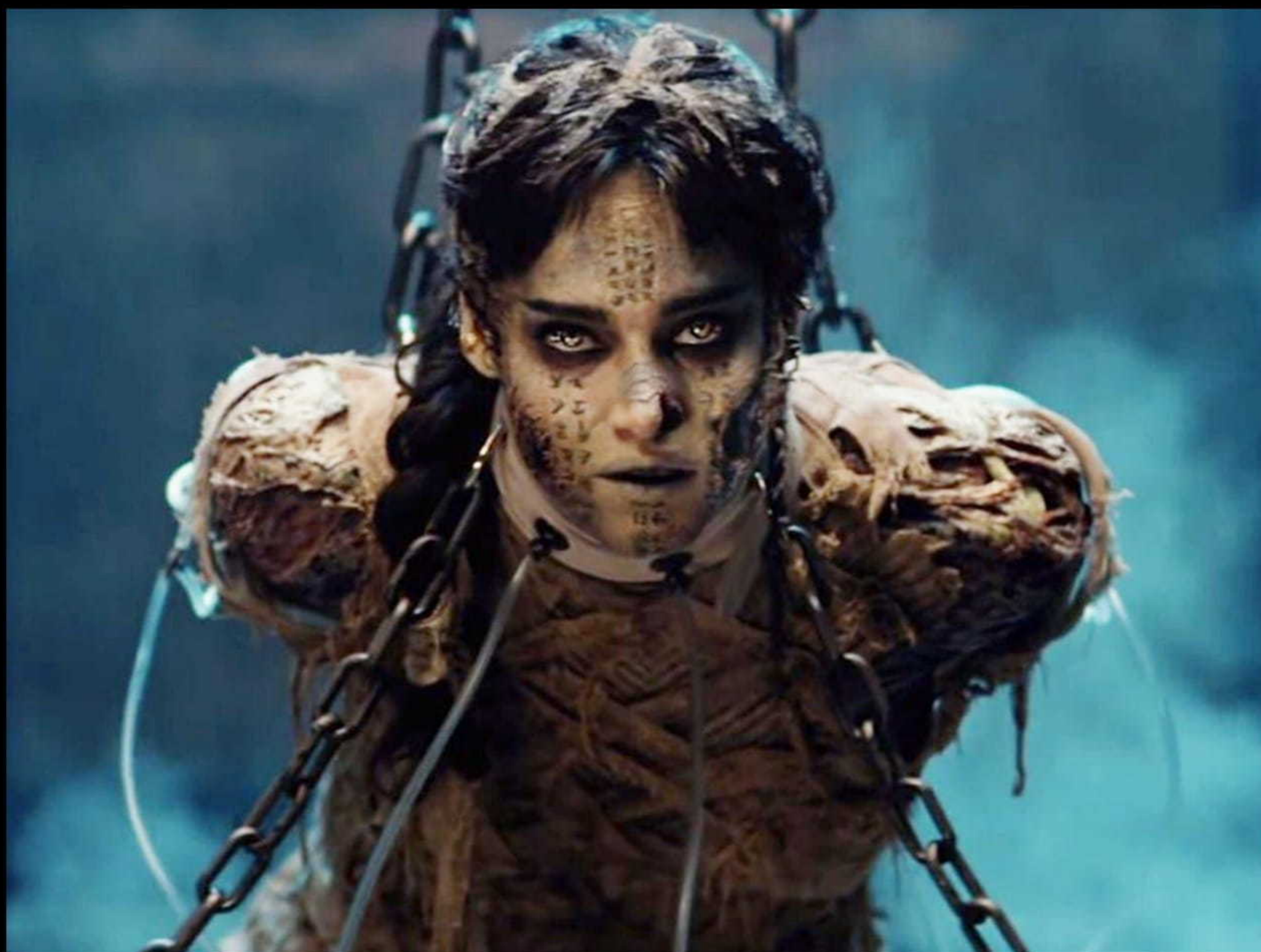
Urszula Sikora

Czy wiecie, że w Gdańsku w dzielnicy Oliwa w drugiej połowie XVII trzy kobiety stracono za czary? Były to: Anna, wdowa Krystyna oraz stara Urszula, która była karczmarką w Straszynie.

Najmłodsza z nich, Anna, opowiadała, że spotkała się z diabłem Szymonem, który dał jej czarną, magiczną maść. Dzięki tej maści Anna mogła ulatywać przez komin, aby dostać się na nocne sabaty wiedźm na okolicznych wzgórzach. Podobno właśnie tam sam Diabeł zasiadał na tronie u szczytu stołu suto zastawionego jedzeniem. Takie sabaty odbywały się dwa razy w roku: 1 maja i 24 czerwca.

Po swoich wyznaniach kobiety zostały poddane próbie wody, a następnie ścięte na placu kaźni w Oliwie. Potem ich ciała spalono na stosie.

Informacje z: Maria Bogucka, *Życie codzienne w Gdańsku*, Gdańsk 1967, s. 153-154.



Sofia Boutella jako Ahmanet w *Mumii*; reż. Alex Kurtzman, zdj. Ben Seresin, 2017.

Sabat 24 czerwca

Na stole posiłek z mięsiwa, owoców i ryb.

Wieśniaczki siedzą na krańcu stołu i piją wino z glinianych mis,
boją się, że przyjdzie.

Zimne mięso pod paznokciami, w kotle duszą się grzyby, które wyrosły na ich sumieniach.

On będzie zadowolony z potrawki,
jest kleista i gorąca, parzy skórę jak noc.

Gdy przyszedł, wszystkiego zapomniały.

Rano spocone ciała nadal tańczą ze słońcem,
nie mogą przestać bez jego pozwolenia.

We włosach jest mech i bluszcz, skóra poparzona pokrzywą.

Jedna tylko odeszła po cichu, odeszła, bo ani razu nie spojrzała za siebie.

Zakrwawionymi stopami wraca do domu.

Po sabacie zwiędła mięta i zdechły psy.

Psy trzeba pochować za domem w jasnej, suchej ziemi,
sosny korzeniami pożrą psy i znów w nocy będą szczekać.

Ciężko kopać piach, gdy ręce zmęczone,
chylą się plecy, ciało chce do ziemi.

Po pochówku siada na ganku i nożem grzebie w sośnie –
kobieta musi wyrzeźbić swój kostur.



Francisco Goya, *Vuelo de brujas* (1798)

Dziewczyna ze studni

Cztery księżyce temu uwięzili dziewczynę w studni.

Dziewczyna płakała, płakała, aż całkiem wieś swoimi łzami zatopiła.

Teraz ludu nie ma, jest tylko bagno skażone trupim jadem,
duchy krążą nad mokradłami i płaczą nad swoją dolą.

Ich ciała rzeką spłynęły do słonych wód morza.

Ryby je zjadły, potem wypluły i same mówić zaczęły.

Mówiły rybakom o dziewczynie w studni,
dziewczynie ukaranej za to, że żyła.



Gertrude Käsebier,
Die Braut, 1905.

* * *

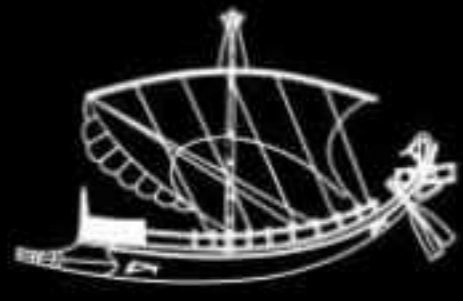
Chata jest ciemna. Kurz tańczy w słońcu, w głowie złe myśli klekoczą.
Wyjdź na szczerze pole i krzycz, aż cię mech otuli. Nad tobą wyrośnie drzewo bez wierzchołka.
W jego pniu będą pszczoły, które obsypią cię złotem.
Wyjdź i zakrzycz wreszcie. Podlewaj korzenie łzami. Gdy nadejdzie noc, możesz z pszczołami
tańczyć. Z ust będzie kapał ci miód.



NN, *Infinitude*, 1910 [Yale Collection of American Literature - Beinecke Rare Book and Manuscript Library]



Häxan, rež. Benjamin Christensen, zdj. Johan Ankerstjerne (1922)



PROZA



Nosferatu

No nie były piękne święta. Chociaż jeszcze chwilę temu portowe miasto szykowało się na huczne obchody jarmarku, obecnie zamarło. Ulice były puste, a jeśli już coś pojawiło się na drodze, były to przeważnie służby miejskie, na sygnale i w znacznym pośpiechu.

Nikt nie wierzy w takie historie, rodem z filmów grozy, wieszczące nadejście choróbska niszczącego ludzkość. Owszem, nakręcono o tym wiele filmów. Czasami ogłaszają wybuch epidemii w Europie. Przeważnie dotyczy to zwierząt. Tym razem było inaczej.

Grozę sytuacji potęgował fakt, iż działo się to w Polsce. Tu nikt nigdy nie spodziewałby się czegoś takiego. Jakby wojny, choroby i terroryzm były wszędzie, tylko nie tu. Niektórzy dziennikarze i historycy wspominali o epidemii cholery, która pojawiła się sto lat temu w Gdańsku, przywieziona statkami ze wschodnich Indii. Wtedy w domach zamykano szczelnie okna i drzwi, ale nikt tak naprawdę nie wiedział, jak walczyć z epidemią na tak potężną, śmiertelnoścą skalę.

Ten nieznany wirus zaatakował tak nagle, że porównania do czegoś, co zdarzyło się sto lat temu, było jakąś kpina. Mamy przecież koniec 2018 roku. Społeczeństwo przeżyło już szereg wojen, w tym dwie globalne, a przez stulecie świat zdążył się rozwinąć, uzyskaliśmy dostęp do nowoczesnych technologii. Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach i opowieściach *science fiction*. Ewentualnie wtedy, gdy nastąpi atak terrorystyczny. I tak też zareagowano.

Nowoczesny, zapowiadany w fantastycznych książkach, jak atak zombie, początek nowej nieznanej choroby. Fikcja literacka, historyczne wątki plag nawiedzających Ziemię, a teraz nagle – rzeczywistość. Śmiertelny wirus atakujący szybko i jak na razie – brak antidotum.

Zaczęło się dziać. Nagła śmierć 666 mieszkańców zrobiła wrażenie.

A ludzie nadal umierali! Na obrzeżach miasta rozstawiono punkty sanitarne. Powstały specjalne bramki biologiczne. Służby i wojsko zareagowały błyskawicznie. Jak na znane Polakom realia, naprawdę szybko! Wszystko działo się tak nagle. Błyskawicznie śmiertelna choroba opanowała północne miasto. Nastąpił gwałtowny spadek populacji, służby nie nadążyły z raptownym, rosnącym lawinowo atakiem czegoś nieznanego...

W malej, szpitalnej sali, odizolowanej drzwiami z napisem „Pierwsze przypadki choroby” leżałem i walczyłem o kolejny dzień życia. Pozostali już dawno umarli, więc byłem ważnym elementem procesu poszukiwania antidotum.

Podłączony do aparatury, na wpół przytomny.

W myślach śmigaly mi wspomnienia z ostatniego „zajebistego” wyjazdu. Czulem, jak przed oczami, jak w śnie na jawie ukazywały mi się kadry filmowe. Niektórzy mówią, że taki stan pojawia się tuż przed śmiercią, ale ja czulem się bardziej jak w jakimś transowym odlocie. Nie wiem, może to lekarze mnie nafaszerowali lekami? Migaly mi setki obrazów, aż do początków wycieczki. Nie wiedziałem czy miałem gorączkę, ale wewnątrz mnie aż gotowała się krew. Jakby coś we mnie miało mnie za chwilę rozerwać. W rękach trzymałem kurczowo złotą węgierską monetę. To pamiątka z wyjazdu i ostatnia rzecz, którą stamtąd pamiętam. Po niej następowała nicość.

Widziałem także coś więcej, coś dalej. To było niesamowite. Były to nowe dziwne historie, które zawładnęły moim umysłem.

Porażała mnie jeszcze dodatkowa myśl. To uczucie że żyjesz, a wielu już odeszło, być może przez ciebie. Zarażeni czymś z południa, czymś co przywiozłem ze sobą, czymś nieznanym. Jakiś straszliwym chorobskim.

No i miałem tę niesamowitą błyszczącą monetę z 1666 roku.

* * *

Po najeździe tatarskim na rejon orawski przy życiu nie pozostało wiele z dawnej szlachty. Część zginęła w walkach, resztę dobiły choroby. Nie były to tereny łaskawe dla mieszkańców, więc ludność skupiała się w osadach górskich. Atakowana ze wschodu przez sułtana, broniła się dzielnie.

Wśród nich, zwyczajnej ludzkiej społeczności, z dawien żyli dwaj bracia. Prawie Nieśmiertelni. Jako „pradawni” kochali te górskie krainy. W potężnych, wiecznie obludzonych rejonach gór, mieli budzące grozę twierdze. W tym rejonie krzyżowały się europejskie szlaki z dalekiej nadmorskiej Północy do gorących wód Południa.

Vlad zamieszkiwał na południu, w rejonach Siedmiogrodu, i z książęcą zawziętością walczył z hordami sułtanatu. Miał w tym ukryty cel. Walczył o swoja krainę, mając uznanie

wśród ludu. Poddani bali się go, ale nie tak jak jego wrogowie – ich ciała miał zwyczaj nabijać na pale. Takim zachowaniem potęgował strach wśród najeźdców.

Pewnego dnia nastąpiła w nim tajemnicza przemiana, która dała mu życie wieczne. Stało się tak, kiedy po raz pierwszy poczuł zew swej natury i napił się krwi wroga. Od tej pory wbijał swe kły w serca i szyje ofiar. Walczył i mordował sułtańskie wojska zaciekle. Jako pierwszy odpierał ataki wschodnich najeźdźców, więc ci z gór na północy mieli więcej spokoju. Ale też i o ludzką krew było tam trudniej...

Vrolok żył spokojnie i nie cieszył się taką sławą jak jego krwiożerczy brat. Wład z Siedmiogrodu, nabijał na pale. Ziemia była czerwona aż po horyzont. O dostęp do świeżego, ludzkiego mięsa było łatwiej.

Tutaj, koło Arvy słowackie szczepy żyły inaczej. Deficyt krwi był spory, więc Vrolok starał się być ostrożny. Górskie powietrze studziło jego zapędy, czerwone krwinki pulsowały wolniej. Jeśli już potrzebował krwi, to robił to dyskretnie. Jego ofiary z reguły ginęły. Te które przeżyły uciekając, albo pozostawały w jego władaniu, prznosiły ze sobą plagę. Było to morowe powietrze niosące śmierć.

Vrolok wiedział, gdzie zbudować zamczysko, czując pradawną moc ziemi wybrał sobie potężny czakram Karpat. Tam sułtańscy najeźdźcy rzadko docierali, chyba że uciekając przed jego bratem. Toteż życie upływało mu spokojnie i obywatel się bez taplania we krwi.

Chwile przyjemności dawała mu hrabianka Erzsebet Bathory, ale ten romans nie wpływał na niego pozytywnie. Erzsebet, gdy poczuła krew, nie umiała się opanować. Przez jej nagminny zwyczaj mordowania szlacheckich córek, podejrzenie padło także i na niego.

Nic dobrego z tego nie przyszło. Szkoda było tych młodych dziewczyn. Za dużo ich zginęło... Toteż, koniec końców Vrolok usunął się z dala od Erzsebet i ich romansu.

Miał szczęście. Bathory wkrótce dopadli zrozpaczeni rodzice szlachcianek i zamurowali ją żywcem. Jęki jej konania, a bardziej cierpienia z braku krwi czuł wewnętrznie. To on kiedyś ją ukąsił i część jego mrocznej duszy przeniknęła młodą arystokratkę. Tyle że on z pożądaniem krwi dawał sobie radę, ona – nie.

Dożył spokojniejszych czasów. Nadszedł rok 1626. Pojął za żonę jedną z siedmiu córek Jerzego V Turzo.

Jednak z biegiem lat ciągle problemy zaczęli sprawiać mu jego synowie, którzy za nic sobie mieli dawne zasady. Straszili biednych ludzi z niżej położonych osad, aż ich imionami Nelapsi i Upir straszono od małego każde dziecko w wiosce. W 1666 roku miejscowi rzemieślnicy stworzyli nawet złotą monetę, która miała ich chronić przed całą krwiożerczą rodziną.

Przez prawie sto następnych lat w Podzamoku żyło się spokojnie.

Najemcy z rodu ludzkiego nie przeszkadzali, no może za wyjątkiem Mikołaja i Franciszka. Dokonali oni przebudowy i Zamek Orawski stracił charakter obronny. Ich działania skończyły się jeszcze wielkim pożarem w roku 1800. Dawne to były czasy...

Przyszły tymczasem całkiem nowe, obfitujące w techniczne wynalazki i naznaczone pędem ludzi do destrukcji.

O Vladzie, stryjecznym z dawnego rodu Transylwanii wiedzieli wszyscy. Vlad Palownik, hrabia Dracula, krwiożerczy wampir. Cieszyło to Vroloka, bo on sam przynajmniej miał względny spokój na Orawie. Mylono ich często, ale wolał pozostawać w cieniu brata. Czasami, gdy był młodszy, rozprzestrzeniał zarazę. Im dłużej żył, tym mniej jednak miał na to ochotę. Nie potrzebował już aż tyle krwi, kłania ludzi lub rozsiewania po świecie plagi. Tym razem jednak poczuł coś innego...

*

Reżyser Friedrich Wilhelm Plumpe przybył na Zamek Orawski, Arvavar w roku 1921. Był młodym, utalentowanym artystą, opanowanym przy tym manią zbierania legend o diabłach i innych demonach. Najbardziej zaś zainteresowała go historia o sławnym bracie Vroloka, wampirze z Siedmiogrodu.

Niestety, wszystko się pogmatwało. Ktoś kiedyś zebrał wszystkie legendy, opisał je w książce i miał do nich prawa autorskie. A teraz w dobie wynalazków, pełen pomysłów młody reżyser chciał nakręcić o tym film. Napisał więc scenariusz poświęcony Vladowi, ale większość faktów pozmieniał.

Nie wiedział tylko jednego. Zafascynowany światem Vlada, szukając historii o nim, trafił do dóbr Vorloka. A przy tym aktor, który grał główną postać za bardzo wczuwał się w rolę. Friedrich Gustav Maximilian także zafascynowany legendami o dalekim krewnym pana na Arvavar, krążył nocami po komnatach w przebraniu wampira...

Cała ta sytuacja drażniła Vorloka straszliwie. Jakiś aktorzyzna panoszył się na zamku, udając jego brata. To musiało się źle skończyć.

Chwila ta nastąpiła w sylwestrową noc, podczas końcowych ujęć do filmu. Upojona zamkowym winem ekipa nie zauważyła, kiedy Max odłączył się od nich i ruszył do najdalszych piwnic. Dalej już poszło łatwo. Złota moneta położona na bruku zwabiła go swym blaskiem. Podniósł ją z zaciekawieniem, w tym momencie świeca zgasła. Vorlok wbił zęby w szyję aktora.

Zakrwawiona moneta, upadła gdzieś w kąt piwnicy, pod kadzie z winem.

Rano Max wrócił do kolegów oszołomiony i tak odmieniony, że ekipa nazwała go Wielkim Strachem. Zmarniał, coraz częściej w nocy znikał w podziemiach, zaczął sypiać w trumnie... Tak naprawdę został w zamku, chociaż encyklopedie podają, że zmarł na zawał w swoim rodzinnym Monachium.

Ekipa filmowa zaczęła tymczasem chorować i z trudem dobrnęła do końca sesji zdjęciowych. Ledwie dotarli do rodzinnego kraju, a zaraza, jaką ze sobą zanieśli do zdziesiątkowanych Germanii i Austrii, zbierała swój plon aż do kolejnej wielkiej wojny.

* * *

Byłem adeptem szkoły filmowej. Codzienna dawka nauki dostarczała mi ciekawych bodźców do działania. Przekazano mi wiedzę na temat historii filmu. Dodatkowo przeglądałem dziesiątki dawnych niemych eposów.

Największe wrażenie sprawił na mnie film Czarownice, zapamiętałem także pokrzywiony świat doktora Caligari. Z zaciekawieniem obejrzałem kultowe i demoniczne filmy północnego ekspresjonizmu: wspomniany Haxan albo Furman Śmierci. Niesamowity był także Nosferatu. Wcale się nie dziwię, że Kracauer wieszczyl nadejście nowych, niemieckich upiorów.

Jedną z moich pasji były podróże po dziwnych miejscach. Najczęściej historycznych, takich, o których krążą ciekawe opowieści. Kiedyś ruszyłem szlakiem zamków górskich z moją ukochaną kobietą i tak przez absolutny przypadek trafiłem do potężnej twierdzy Zamku Orawskiego, pradawnego Arvavar.

Im bliżej wejścia tym dziwniejsze stawały się obrazy rzeczywistości, gdzieś już widziane, jak we śnie. Długie tunele, komnaty, aura tych przestrzeni już gdzieś tkwiła w mojej podświadomości. Mijałem komnaty służby z zegarem bez wskazówek, komnatę energii z wieloma uśmierconymi zwierzętami, pnąc się coraz wyżej i wyżej, aż do wieży z jedną, zamkniętą na stałe komnatą.

Oprowadzająca po zamku starsza przewodniczka, prosiła, aby do niej nie zaglądać, ciekawość jednak zrobiła swoje. Oddaliłem się na chwilę od grupy i ukradkiem wszedłem do pomieszczenia, gdzie w świetle drobnych lamp ledowych stała trumna.

No ładnie. Pomyślałem że to może jakiś eksponat, ale wyglądało to wszystko zbyt mrocznie. Podeszedłem bliżej i zauważyłem że w trumnie leży... Nosferatu czy też może aktor, który go odtwarzał – Max „Wielki Strach” Schrek. Nie mogłem tam zostać za długo, więc na szybko chciałem zrobić zdjęcia. Plus, oczywiście jeśli da radę w tym mroku, „strzele” także „selfiaka”.

Już miałem opuścić pomieszczenie, gdy w samym rogu coś mi błysnęło. Gdy podszedłem bliżej, zauważyłem że to... złota moneta! Podniosłem ją na chwilę, zdążyłem tylko zauważyć datę 1666 rok i wtedy właśnie zgasły światła.

W tej samej komnacie oprócz śpiącego snem kamiennym Maxa, był jego wampirzy stwórca, Vorlok. Szybko się ze mną rozprawił. Zatopił w mojej szyi swe zębiska. Czuję jak wysysa ze mnie krew. Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie, choć w pamięci rozmywa się jakby we mgle. Z trudem opuściłem zamek, korytarze rozciągały się, czas wariował. Nie zwróciłem także uwagi, czy obok mnie jest moja ukochana. Jakiś koszmar...

Chyba była, bo usłyszałem jakby z bardzo daleka: „Uciekajmy, zaraz spadnie potężna śnieżycą”.

Z trudem uciekliśmy przed nawałnicą do Polski. Podróż też minęła błyskawicznie, jakby w transie.

Niewiele pamiętam. Znalaziono mnie wyczerpanego i ledwo żyjącego na parkingu, gdzieś w północnej Polsce. Zanim dowieziono mnie do szpitala, medyk z ekipy ratunkowej zmarł. Parę minut później na oddziale ratunkowym, dwie następne osoby. Lekarz prowadzący ogłosił stan alarmowy i gotowość szpitala do uruchomienia izolatki. Dwie godziny później on też już nie żył. Nic jeszcze nie wskazywało na stan zagrożenia, ale wkrótce miało się to zmienić.

Marcin Świerczyński, *Nosferatu*.
Ciąg montażowy [fragment] (2019)




Redakcja długo biła się z myślami, czy w ogóle zamieszczać tę informację i czy zrobić to na wstępie, czy też już po opowieści. W końcu zdecydowaliśmy się na formułę „dopisku”. Otóż Marcin Świerczyński swoje opowiadanie o Nosferatu stworzył nie później niż na przełomie lat 2018 i 2019, gdy nikt jeszcze nie przewidywał dramatu światowej pandemii...



Marcin Świerczyński, *Nosferatu. Ciąg montażowy* [fragment] (2019)

Horror vacui klasy B albo Stowarzyszenie Nieumarłych Poetów

I. Mors poetica

eczyzja zapadła: postanowiliśmy odkopać Czesława Miłosza. Patrzyliśmy bez słowa po swoich twarzach, pociemniałych od pełgającego płomienia świecy, celebrując moment tak uroczysty, że puchnął od własnej wiekopomności, potężniał i w kątach mrocznego salonu rozłaził się w wielkie rojenia, aż, zachłyśnięci tym nagłym nadmiarem, czuliśmy podskórnie zamiast patosu jakąś grozę i elektryczne podniecenie wzbierające w powietrzu. No tak, trudno to wytłumaczyć.

Jeszcze nie dłużej niż godzinę wcześniej panowała tu zgoła inna atmosfera. Zebraliśmy się wszyscy po dyplomach, aby świętować – świeżo upieczeni absolwenci polonistyki, elita-kwiat młodzieży, przyszłość narodowej inteligencji i nadzieja nowej humanistyki. Nocka przyjemna, ciepłutka, winko, winko i perspektywa bezrobocia oddalała się w migotliwych immersjach etanolu, którym oddawaliśmy się z lubością coraz lżejsi, wietrzniejsi. Z otwartego tarasu wionęło suche nocne powietrze pełne ciem i świetlików.

Dużo w nas było jeszcze zapału – ledwieśmy wyjść zdążyli za uczelniane mury, co nieco w piórka obrosnąć, już nas świerbiło do dyskusji, na świat chcieliśmy się rzucać z pazurami i kąsać – prawo gorącej młodej krwi. A w głowach bąbelki, iskrzenie.

Stoliki szumiały wartko, gwarno. Czasem ktoś głos podnosił w zapamiętaniu, nadmienić jednak należy: czysto dyplomatycznie, tak, jak przystało, płynęły więc wciąż konwersacje nurtem lekkim i wiry huśtały zabawnie. Nieważne to wszystko, gdy z ust do ust toczyła się piana obficie i sens ciekł, uciekał gdzieś chyłkiem, słowotok spływał narzeczem wód jak rzeka pod rzeką, huczało miło, że można było siedzieć w fotelu, obracać w palcach słowa podobne do gładkich kamieni.

I trwałby może dalej błogostan, gdyby nie pewien precedens, który niechybnie zasądził o dalszych losach wieczoru. Wybrzmiało bowiem pytanie, takie co można na pozór rzucić przed siebie beztrąsko jakby na wiatr lub na wodę, a jednak, trzeba pamiętać: raz porzucone zawisa jakoś tak niewygodnie, uwiera i kole, wypacza rytm, że niepodobna zostawić go bez odpowiedzi.

– Kto dziś jeszcze pisze dobrą poezję?

Koś żartem niby, przypadkiem, śmiejąc się głośno. Lecz zdradza go zaraz drżenie powieki i grymas nazbyt spiętych policzków, który przydaje osłody tylko sprawom do cna beznadziejnym, tęsknotom trawiącym serce z bóleści i wstydu, że nic się nie może zrobić.

Światło jakby przygasło, skupiwszy się w środku pokoju niczym w obrazach Rembrandta. Kolejna flasza na stół i toast, płyn rubinowy jak krew do ust, bo dobrze się pije na smutno i myśli toczą się jakoś łatwiej. Za literatów w tej marnej epoce! Naraz przybyło nam wieku, sypnęło się srebrnym włosiem na skroniach i w wieku dwudziestu lat posiadliśmy mądrość wieków. Zgarbieni ku sobie poufnie poczęliśmy gwarzyć, wspominać stare i dobre czasy, w których nie dane było nam żyć.

– Wyobrażacie sobie, że kiedyś po ziemi normalnie chodzili giganci? Zobaczcie, tyle już lat minęło, a nie pojawia się nikt, kto mógłby choć zbliżyć się do poziomu takiego Mickiewicza albo Tuwima...

– Ech, tak, kiedyś mieliśmy sławnych poetów, o których słyszeli i za granicą! A dziś kompletna posucha. Z prozą jeszcze dajemy radę, bo na przykład Tokarczuk czy inni, ale wiersze?

– Prawda. Właściwie, kto był ostatnim poetą na taką miarę? Bo przecież nie Szymborska.

– Różewicz?

– Ej, co chcecie od Szymborskiej?

– Ee... to wojna – za wcześnie, chyba ktoś jeszcze był po nim.

– Czekajcie, a Miłosz to kiedy?

– W sumie... Chyba tak, Miłosz faktycznie.

– Noo, Miłosz przecież!

– A to nie wojna też jakoś?

– Jak on żył z 80 lat i cały czas był właściwie najlepszy, no to...! Nie ma się co dziwić. Taki ten... Poemat o czasie zakrzepłym albo gdzie wschodzi słońce i coś tam dalej. Przecież piękne to jest, są emocje, obrazy...

– I ten język!

– No właśnie język, ech, to było coś... Być takim Miłoszem...

– Kiedy się czyta Miłosza, w zasadzie nie ma już po co czytać czegokolwiek innego.

– To moja szklanka, debilu!

– No, nie mieliśmy lepszego poety. Przed nim ani po nim i nie będziemy mieć pewnie.

– Czesław Miłosz zabrał ze sobą poezję do grobu!

– Pauli, a Ty co sądzisz?

– To proste – chrząknęłam – Z czego ma powstać nowa poezja? Przede wszystkim JAK może w ogóle powstawać, skoro nie tylko samo tworzywo dawno uległo degradacji,

ale też i świadomość językowa w społeczeństwie jest dużo niższa niż dawniej. Szkoły chociażby! Zobaczcie! Przecież kiedyś normalnie uczono, na czym polegają systemy metryczne i te zestroje zgłoskowe... Ba! Musieli nawet pisać własne wiersze według tych reguł normatywnych. No, i to świetnie uczyłoby pokory, doceniać wielką sztukę i sztukę poetycką, rozróżniać chłam od arcydzieł zwyczajnie. A dziś kto jeszcze to potrafi? Nawet, załóżmy, gdyby w naszym pokoleniu urodził się drugi Miłosz, niech będzie i poziom niżej – ot, taki na przykład Herbert, czy ktoś umiałby poznać się na nim i czy kogokolwiek by to w ogóle obchodziło? Jak z sześćdziesiąt procent Polaków nie trzymało w tym roku ani jednej książki w ręku, to co dopiero mieliby wybrać poezję! Zresztą, wiecie, kto jest teraz najbardziej znanym polskim poetą? Hmm? Marcin Świetlicki! Na Boga, to o czymś świadczy. Weźmy któregoś z tych dawnych twórców, nawet drugorzędnych, niech będzie. Taki pierwszy z brzegu Lechoń albo Barańczak. I co? Nawet oni są o niebo lepsi od współczesnych i to tych pierwszorzędnych. W tamtych wierszach... no, po prostu coś jest. Nie wiem, może właśnie znajomość tych wzorców klasycznych i tradycji. Cóż, widać, nie można z tego rezygnować i pomijać tego kroku. Przecież! Zanim Różewicz zabrał się za pisanie białych wierszy, to uczył się wszystkich modeli zgłoskowych i miał doskonale opanowane pisanie sylabików czy innych sylabotoników, przeszedł całą drogę po kolei: od Kochanowskiego przez Mickiewicza, i dopiero, gdy wcielił w siebie te zasady i przyswoił, prawda, to mógł sobie burzyć i pisać tak, jak pisał. A teraz co? Większość wierszy na słomkach albo tomiki w empikach to jakieś w ogóle bez rymów i bez pojęcia kompletnie albo same spacje nastawiane i wszystko jakieś puste, bez tej głębi. No, nic nie zrobimy z tego, co tutaj mamy.

Po tym popisie bufonady zaczerpnęłam długi łyk wina, zadowolona z siebie, lecz, jak wiadomo, *finis* dopiero *coronat opus*, zatem dodałam:

– Trzeba się cofnąć do podstaw, do tyłu, wrócić się. Pójść i odkopać Czesława Miłosza. Ktoś musi wziąć i z jego kości wyciosać pióro. I wtedy dopiero napisze nim pierwszy dobry wiersz nowej epoki.

Traf chciał, że chwilę wcześniej umilkły szmery rozmów, więc w ciszy gęstej jak plama czarnego, zakrzepłego miodu, słowa wybrzmiały z siłą prorocstwa, krusząc zastygłe powietrze. Wówczas przez chwilę zdawało mi się, że było to pierwsze, jedyne może, co rzekłam, raczej przeze mnie coś przemówiło, moimi ustami, rozchyłonymi jak do pocałunku – a to za ledwie błaga, być może nie powiedziałam nic a nic zupełnie, a tylko w głowie mi brzęczą jakieś cudze wymysły, łokciami się rozpychają chamsko, perfidnie. Poczulałam ciepło rozpluwające się na policzkach. Chwilę siedzieliśmy w ciszy, przerywanej wyłącznie trzaskiem suchego płomienia, aż zewsząd rozległy się pierwsze pomruki aprobaty, przechodzące z wolna w entuzjastyczne, potem ekstatyczne okrzyki.

– To jest plan!

– Tak, to jest myśl, chodźmy!

Zawrzało, zakipiła i zanim się obejrzała wzruszona, już wszędzie wszczęte perory. Ktoś zagrział pięścią o stół i burza w szkle, z kozacka tłuką się kieliszki, aż czerwono na obrusie, w jedno zeszło się wzniosłe i niskie, policzek oparty na blacie, lecz palec wzniesiony ku górze dumnie, sarmacko i obrus dwubarwny powiewa dumnie, do czynu wzywa Ojczyzny łono.

W oczach mi się zamrowiło, ściemniało nagle i uśmiech głupi, szeroki rozpręgął się błogo na twarzy. Rybie oko łpiące z pustej lampki jednako śmieszne i wielkie, widziało wszystko. W soczewce głowa puchła, wzbierała czołem pociągłym do góry, wysoko – tak nasza myśl szybowiała ponad poziomy ducha i wypaczały się linie, kształty, znaczenia metaforyczne na prawach dosłownych. Kto by to wszystko rozróżnił, gdy serce bije na alarm?

Rosło w nas przekonanie, że właśnie ta noc lipcowa zebrała nas w jednej sprawie, że pcha nas ku przeznaczeniu, które dalece wykracza poza nasze rozumienie rzeczy – wątpliwe i rozbujane: od lampy wiszącej u sufitu do stołu, krawędzi, za którą chwytałyśmy się, czując nagle ukłucie w żołądku.

Świętość, świętość podchodziła nam do gardel, ścisnęło przelyk wzruszenie! Tam w ciemnym grobie pod progiem kościoła jest zakopana poezja, relikwie potrzebne na cud. Wiedzieliśmy już – Mesjasz nie przyjdzie. Musieliśmy sami sprowadzić odpryski jego ciała, choćby i z krypty, z największych ciemności, wybierać gwiazdy, te ziarna białego maku rozprószone po całym niebie, aby na nowo oddzielić od mroku światło, poezję od zwykłej grafomanii. Musieliśmy iść po kości.

Więc dalejże, młotki, łopaty, kilofy, toporki, siekiery, co kto ma jeszcze, hejże bracia! No to łyk dla kurażu, pęka szkło – to na szczęście! To butla, butelecza za pomyślność i hopsa dokoła, i jeszcze jeden, weselmy się, kochajmy się, strzemienny na drogę – wskrzesimy poezję!



Francisco Goya, *La romería de San Isidro* (1819-1823)

II. Choćbym szedł ciemną Doliną...

Ej, Jezusmaria, co tam się w krzakach poruszyło i co za cień przemknął po ścianie? Zachować spokój to grunt, lecz grunt pod nogami wiruje i Ziemia, gwiazdy, i ciała niebieskie – obraca się wokół wszechświat, chwieje się cały Kazimierz. Dziwnie gorąco i parno tej nocy, potnieją dłonie na trzonku młotka, plecy się kleją do ubrań, zroszone. Tak to się błądzi w malignie.

Jesteśmy młodzi, piękni, pijani w sztok na nieszczęście. Idziemy mimo to mężnie między ponure zaułki, gdzie w każdym zaułku wnęka, w każdej wnęce Żyd – czarny, brodaty, co łyska chytrze oczkami. Gdy przetaczamy się obok, zaciekawione wylega naprzeciw nam całe getto i zażydzają się wszystkie ulice od długich ciemnych chałatów.

– Nie lękać się, przyjaciele! – gromkim głosem ryczy Mojżesz – tak przez nas ochrzczony, bo kroczy na przedzie, dzierżąc latarkę, która oświetla drogę chwiejnym snopem miękkiego światła. Chowają się cienie zmarłych, pomstując w obcym języku. Ejże tam! Wyście już mieli Słowo, udział w Początku jużście mieli, zostawcież i dla nas trochę! Bo daję słowo, weźmiemy Je, choćby siłą, zerwiemy całun, jeżeli trzeba. Pogódźcie się wreszcie, nieszczęśni, innego końca świata nie będzie!

Kilku bezdomnych drzemie obok na ławkach snem mlecznym, anielskim jak owcza wełna i śnieg, a niebo w biblijnej czerni. Zamiast komety wiedzie nas gwiazda piołun. Gorzko żałować, że wszystko minęło, bo radość już wzbiera w piersiach, dojrzewa pod sercem Nowe. Nowa poezja i słowa świeże, pachnące jeszcze ziemią niby warzywa z własnej grządki pod miastem.

Ale ta ziemia właśnie. Coś duszno nadal, nieswojo, bądź co bądź, jednak trup. A to do tego jaki: unikat trup, trup noblista! I jakże to: grzebać w grobach, kości wykradać ziemi?

– Ty, a co jeżeli on się nie rozłożył? Były podobno w Rosji przypadki, że ciała świętych się nie rozkładały po śmierci. A on też przecież trochę jak święty...

– A tam... Głupstwa. Nie gadaj.

Przed nami nurt wiślany czerni się tłusto jak pasmo gęstej olejnej farby kładzonej impastem na mapie miasta. Wysoko majaczy kształt bazyliki; bliźniacze iglice wrzepione w niebo. Szczęśliwym trafem, głupi bodaj zawsze ma szczęście, znaleźliśmy jeszcze drogę inną, dziwniejszą, ciut nielegalną, co prawda, i dyskusyjną, jednakże w sam raz dla takich jak my: wyklętych w służbie poezji, zbójów–artystów, straceńców, którzy za sztandar wzięli stary, żalobny kir.

Nisko, karki do kolan. W skarpie tuż przy kanale zieje otwór średnicy małej studzienki, a za otworem ginie wśród mroku wąski tunel wydrążony w ziemi. Wieść roznosi się szmerem: są pod

kościółem lochy, w których ojcowie ponoć pędzili bimber podczas wojny. Dobry znajomy czyjegoś brata albo chłopaka, bądź co bądź, student archeologii twierdził, że tędy droga do celu.

Zdrowie, archeolodzy! Za wasze rady bezcenne, tajne, szeptane trwożnie w mokre od potu poduszki, do uszu sennych kochanek. Wokół wiwaty, śmiechy i polubowne kuksańce, lecz do mnie ciągle dochodzi, że nas nie minie ta dziura w ziemi, zejście do Piekieł, ssące, czelustne usta Piwnicy. Kucam blisko u wnijscia i ciężki zapach wilgoci wraża mi się w miąższ płuca. Co to za durny pomysł! A może by tak tu prysnąć? Jakby tak powziąć nogi za pas i za zdradę płacić snem wiecznych nocy? Jednak... cóż to? Spostrzegam, że i u innych znika duch w hartowanej zbroi, z ciał ulatuje, płynnie chmurą płytkich oddechów. Stoją co poniektórzy, grzebiąc czubkami butów dokoła, kurzo, niezręcznie. Słysząc z rzadka gdakanie. Ah, nieistotne – to czkawka. Bu!

– Kto się boi?

– Przeszło?

– Kto idzie pierwszy?

– Ja mogę druga.

– A ja po Tobie.

– Ja tu poczekam może i jeśli ktoś będzie szedł, to ogarnę i dam Wam znać.

– Co, boisz się? Hehe, patrzcie, kto najodważniejszy.

– Niech Mati pójdzie!

– To może losowanie?

– No, ale jak losowanie? Czym?

– Nie, to nie dlatego! Ktoś przecież powinien!

– Kamień, papier, nożyce?

– Nikt nie chce iść, naprawdę?

– To czemu sama nie pójdziesz, jak taka narwana jesteś?

Co wyrabiamy, przecież to absurd, w zgiełku i zamieszaniu myślę, jak każdy z osobna pewnie, ale trochę za późno, by się wycofać czy pióra podkulać – co to, to nie, wykluczone! Chwila oddechu i już nam powraca rzeźwość sarmacka, wszak honor swój nawykliśmy cenić wyżej niż zdrowe myślenie – my, wychowani w kraju, gdzie wielką cnotą jest krew przelewać, kiedy się burzy, o każdą głupotę walczyć, jeśli jest wiara w sercu. Bóg z nami! To nasza młodzież wspaniała – mamy i ochotnika! Na przód wysuwa się chłopak, który już chyba tylko siłą woli trzyma się prosto na nogach. Klepnięcia w bark i oklaski, dumnym, falistym krokiem Idzie, ach jak on Chodzi, jak się Wyciąga – w blasku księżyca, postawa wietrzna, spowita mgłami sylwetka i wybujala czupryna. Oto i pada zniecka w przód jak natchniony, krzyżem, twarzą do ziemi, Boże! Wtacza się wprost do tunelu. Wszystko w porządku? Całkiem. Gest uniesionym kciukiem, dobrze jest. Parę metrów

czołga się, daje znak: przybywajcie. Dalej, w równych odstępach. Kiedy przechylam głowę, śmiesznie się rozdajemy niczym girlandy z papieru. Idę ostatnia, widzę, jak przygarbione ludziki – jeden po drugim – znikają w ciemnym otworze bez śladu.

Najpierw wilgoć. Duchota niby w tropikach, ciasno, tak, przede wszystkim ciasno. Próbuje poluzować urojony gorset. Chodźże do mnie powietrze, dalej, pójdźże pod żebra! Coś mnie łaskocze z boku. Hihi, ale dyndają śmiesznie! Oto korzenie – z góry, we mnie korzonki, wiązki, pode mną, to ci dopiero! Trącam je łapką. Ciekawe, co myślą korzenie, gdy nas próbują bladym zwiotczalym palcem, aby ocenić, czyśmy już dosyć skruszeli. Jak tam, czy mięso już pulchne, można już w nasze ciała można wpuścić się chciwie, łapczywie ssać życiodajne soki?

– Hej, zaczekajcie na mnie!

Błoto do tego, błoto. Kto by nie wiedział, mógłby pomyśleć, żeśmy olbrzymią dżdżownicą, przewiercającą się ślepo przez ziemne trzewia ciemności. Co tam gadają z przodu? Aha, widać wyjście, dobrze. Pora najwyższa. Raptem kilkoro rąk chwyta mnie w pasie, kilka za nogi łapie, bym mogła bezpiecznie spuścić się na dół. Ląduję w przestronnej sali.

– Bracie, nie wierzę, że się udało!

– Wszyscy są?

– Chyba wszyscy.

Ktoś światłem z telefonu omiata pomieszczenie. Jest nas z dwadzieścia osób, poniewierających się w czymś na kształt sześciokątnego przedsionka, z którego odchodzą trzy korytarze – każdy w inną stronę.

– Czemu nie w prawo?

– No, kościół jest w drugą stronę. Przypomnij sobie, jak staliśmy.

– Dobra, ale jak coś, to będzie na Ciebie, jeśli się zgubimy.

– Mam GPS–a, czekajcie... Tak, tędy.

Idziemy, ale długo nie trzeba czekać, żeby miny nam zrzedły. Oto ukryta odrośl, boczny pęd korytarza. Nie zbaczać z trasy! Z czasem jednak zjawiają się szersze, które również mają swoje odnogi. Gryzą nas wątpliwości. Pełno rozwidleń, ścieżek bliźniaczych, drózek kuszących sklepieniem solidniejszym, otwartym światłem tunelu. Czy nie kroczymy już bocznym torem? Tu nisko, tutaj uwaga, trzeba się lekko garbić. Ufamy mglistemu wyczuciu, strzałce od nawigacji, wchodząc pomiędzy ściany z gładkich bloków, wykute pospiesznie w nagim kamieniu i ze zmurszałych cegieł – całe spektrum podziemnej pokracznej architektury.

Wszędzie cmentarny ziąb, katakumbowo wszędzie, raz pod stopami klepisko, inny raz – chłodny granit. Ciągnie od nóg, niesłychanie, coś mi za zimno. Patrząc w dół, a tam bosa stopa, bielutki ukwiał o pięciu ramionach, cały w ziemi i glinie. Hihi, buta zgubiłam.

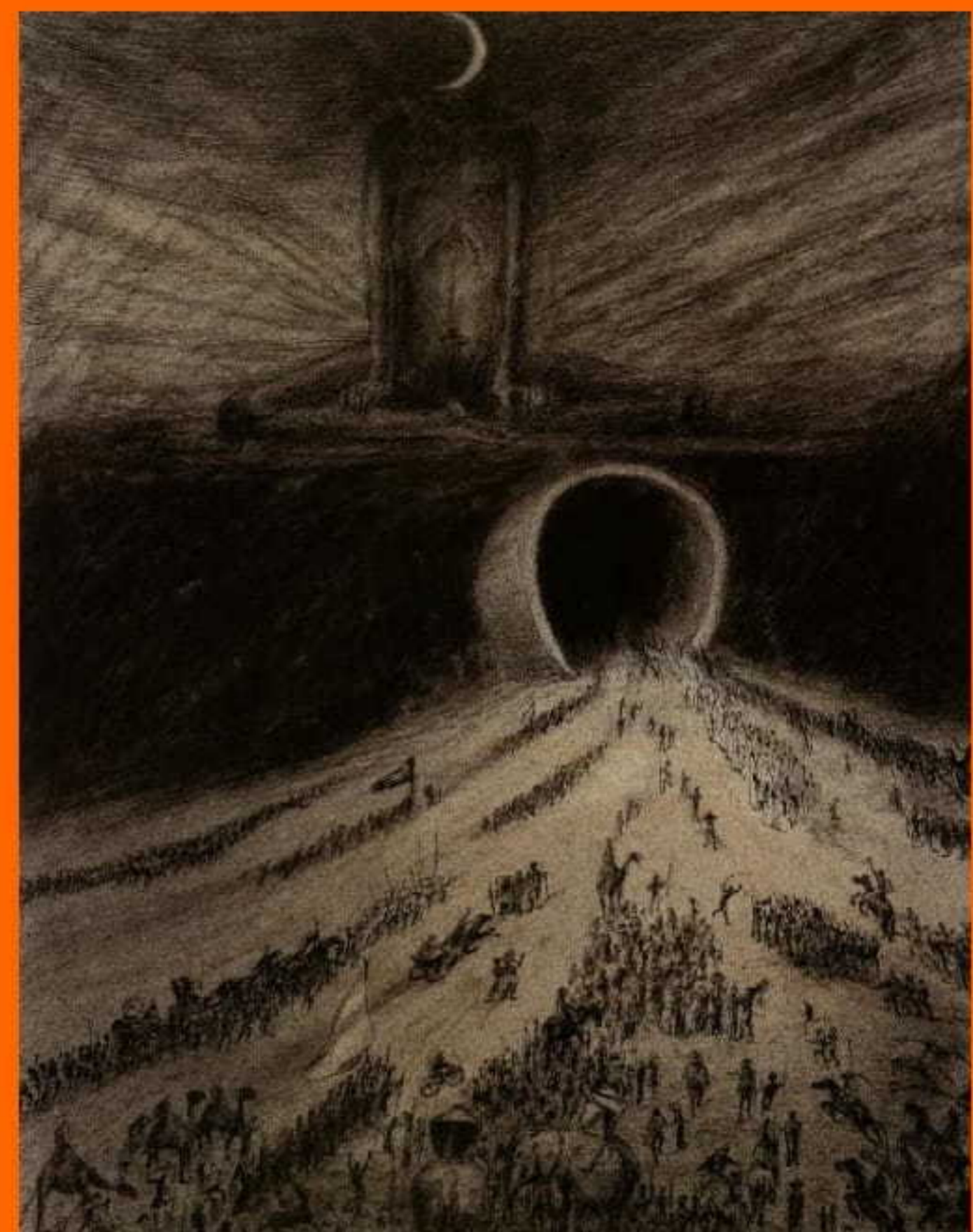
– Czekajcie chwilę, muszę się wrócić.

I wracam, nie czekając na odpowiedź. Pamięć terenu mam dobrą, także lecę zakosem ostro, dwie, trzy przecznice, cztery, o, tu skręcaliśmy. Hopsa! Susem w boczny korytarz. Ślizgam się niby wąż – tu zygzak, a tam slalomik! Grzechocze w głowie chichot, gdy się odbijam od ścian tak miękko. Po co ja w sumie...? Ach racja, but! Chwila, chwila, to już gdzieś tutaj na pewno. Chyba tędy, a teraz w lewo, prawda? Na dół schodami. Zaraz, a ta kałuża? Coś się nie zgadza... Zanurzam palec w błotnistej mazi i wstaję, widocznie za szybko, bo naraz mroczki, ciepło uderza jak obuchem.

Wyciągam przed siebie dłonie, by złapać równowagę, lecz tracę oparcie. Kamienna ściana przezroczyścieje i – zgrozo! – to już nie jedna ściana, nie dwie, niemożliwe! Rozwarstwia się wszystko, złuszcza w gęsty las hologramów. I jak tu nie zacząną wszystkie naraz chybotać, nie ruszą w tan jak wahadła! Groźnie, złowrogo. Podłogo, błogosław! Lecę do tyłu jak długa, cudem unikając roztrzaskania czaszki. Czyliż kto widział takie rzeczy? W widowiskowym kontredansie suną leciutko mury, klękają zgrabnie sufity, zręcznie zmieniają miejscami, prawo i lewo, półobrót, na krzyż! A z dali huczy muzyka z innej epoki, upiornej, może carskiej. Jakiś zimowy, wytworny walc i żyrandole z kryształów... Jakie znów żyrandole?

Czmycham jak pająk, wspierając się z tyłu dłońmi. Wbrew mojej woli pijany wzrok leci szybko poprzez podziemny labirynt, który bezwstydnie odsłania przede mną skomplikowane maszyny swojego wnętrza. Jak kalejdoskop, odkrywa coraz to nowe linie i kształty, mnoży antysymetrie. Ślepną setne zaułki. W oczach z prędkością światła zjawiają mi się korytarze ciemne i niezliczone, podpiwniczenia, ciągnące się lochy, łuki, zaułki, sklepienia i amfilady. Stroboskop – migają obrazy, rosnąc pustymi przestrzeniami. Groza, groza, groza!

A potem ciemność.



Alfred Kubin, *Der Weg zur Hölle* (1904)

III. Post kryptum

Zemdlałam?

Obudził mnie suchy, matowy, trzeszczący ból w potylicy. Ocknęłam się sama na mokrych płytach z gładko wypolerowanego kamienia. Gdzie wszyscy? Rozglądałam się wokół, niepomna chwili, w której na własnych nogach odeszłam w tę straszną odnogę. Znikąd oznaki życia. Samotność niby oplątwa pięła się prędko ku szyi. Poezjo, bądź mi przeklęta! Co mnie tu zwiódło, kazało w mroku prowadzić ku zgubie mych druhów? Podniosłam się, podpierając ręką o skalną ścianę.

Bach! De profundis! Grzmotnęłam barkiem o kamień i lecąc w dal, rozminęłam się z echem. Jak kolorowe cekiny wybuch zapalił dla mnie nowe gwiazdy w snopie skrzypiących iskier. Pośród muzyki sfer grały mi lekko harfy, zębatki orbit zgrzytały, lecz coraz ciszej. Cała kosmiczna fisharmonia ustępowała wolno, a równocześnie w jej miejsce wkradał się dźwięk, znacznie bliższy, straszniejszy.

To było tępe szuranie, jakby coś bardzo starego powłóczyło nogami. Coś coś ciągnęło – jakiś ochłap...? Ćśśś! Przeszedł mnie dreszcz galwaniczny i gałąź prądu niebiesko zesła wzdłuż osi pleców. I nagle, nie wiedzieć czemu, już miałam pewność:

Ciało.

Ślepe bezwolne ciało snuło się w tym labiryncie. Obrzmiałe pośmiertnie, sączące się ciało znaczyło za sobą ślad. Ktoś zadał gwałt na materii.

Pod podłogą wiatr świszczwał w pustych krecich korytarzach. Przeciąg, tłumaczę sobie. Ale skąd przeciąg w podziemiach? Kilka poziomów niżej ktoś pogwizdywał cicho, nucił całkiem bezskładnie jakieś urwane słowa, porozplatane dźwięki, które dopiero po chwili zaczęły łączyć się w zdanie.

– To nie zadziała.

Obłąd – słyszę już własne myśli? Jakże miałam inaczej tłumaczyć owo zachryple jęczenie, które się niosło jakby zza pleców, wyraźne i głuche zarazem: „To nie zadziała.”? Wtem szept nabrał ciała, zupełnie jakby coś ciepłego i oślizgłego wsunęło mi się wprost do małżowiny.

– TO NIE ZADZIAŁA.

Błędne przekrwione oczy rozbłysły tuż obok moich. Wrzasnęłam. Rozmokła zapadnięta twarz z mięsno-obwisłą skórą nieledwie przypominała ludzką. Lecz, Chryste, przecież wszędzie

rozpoznam tę mordę! Toż to Malczewski, bezdyskusyjnie martwy Jacek Malczewski! Czemu zatem miał czelność tutaj, zupełnie żywy, szczerzyć się do mnie dziko, suszyć przegniłe dziąsła?

– Eks hu ma cja – wyszeptał, konfidentycznie przystawiając to, co zapewne kiedyś było dłonią, do mojego ucha, po czym zakrztusił się mokrym, kpiarskim śmiechem. Wypuściłam z drżącej dłoni latarkę. Łubudubu! Zaszyłam oczy i nie otworzę, myślałam, oj, nie otworzę za nic, przenigdy! Jak rzekłam w myślach, tak też zrobiłam – nie drgnęłam – nawet, kiedy już dawno ucichły klaszczące uderzenia stóp o klepisko.

Majaki, majaki! Sen mara, nie uciekniesz. Precz, diable, wara ode mnie, szatańskie podszepty! Zwinęłam się w kulkę i osunęłam w żył pulsowanie, huczenie górskiej krwi pełnej łkania i złorzeczeń. Bóg raczy wiedzieć, jak długo trwały te ciemne godziny poprzecinane bólem podbrzusza – dar powidoków, które szły z każdej strony, ciągnąc uparcie myśli w stronę otwartego grobu. To biesy. Brała mnie gęsia skórka i chciałam czas mój uciszyć słowem modlitwy z dzieciństwa, lecz słowa, te z rajy, od strachu plątały się, kończąc na „Aniele Boży, Strózu mój” I za godzinką, godzinki: Anieleboże stróżumój.

Poczułam czyjąś dłoń na ramieniu. Stał przy mnie bosy Anioł o smutnych oczach, chłopiec o fizjonomii rafaelowskiego amorka, który baczenie przypatrywał się moim poczynaniom. Fala ulgi oblała – mało to powiedziane – chlusnęła na mnie, zwała się znikąd niespodziewanie tak, że wrzasnęłam raz drugi, profilaktycznie tylko, zanim zdążyłam zastąpić dawny strach nowym licem.

Dyszając, otrzepałam się z ziemi, jednocześnie rozcierając łokciami błoto na zapłakanych policzkach.

– Wybacz, Boże, jak dobrze! Skąd się tu wzięłeś?

Wzruszył stoicko ramionami.

– Cały czas z wami byłem.

A mogłabym przysiąc, że widzę go po raz pierwszy w życiu. Zresztą nie dbałam o to, każda ludzka obecność była mi plastrem słodkim, ciepłym okładem z miodu. Myślałam, jak mnie tu znalazł sam i po ciemku. Czyżby on także zabłądził w lochach? I czy on również widział umrzyka? A może to nowe zwidy, podstęp złych duchów mogił? Kipiały we mnie miliony pytań i może właśnie dlatego zadałam najgłupsze ze wszystkich.

– Gdzie Twoje buty?

– Zgubiłem.

Wróciły do mnie obawy, własne tropienie obuwia. Postanowiłam póki co słowem nie pisać nic o spotkaniu z malarzem zmarłym od przeszło pięćdziesięciu lat.

– Zaprowadzisz mnie do pozostałych?

Kiwnął twierdząco głową.

I znów korytarze. Powiódł mnie pewnie, jakby na wylot znał układ labiryntu lub całe życie spędził w mrokach Pałacu w Knossos. Chciałam liczyć zakręty, lecz prędko zatraciłam rachubę i skupienie. Szło się niby w hipnozie. Przez gęstą mgłę przyćmionego światła czas zwolnił jak podczas drzemki, takiej, co mieści w sobie skompresowane, długie miesiące snienia. Odkąd nie byłam sama, ogarniał mnie dziwny, lunatyczny spokój, jakby zsunęła się w końcu cała lawina zmęczenia, która wcześniej czekała tylko, żeby mnie pokryć. Łagodność rozlała mi się po żyłach, a głowa wietrzała powoli, jak szyba przetarta z rosy – wizja się przejaśniała. Wracało poczucie czasu, wszystkich czasów i miejsc. Zmysły się wyostrzały. Mimo ciemności czułam wyraźnie każdą osobną barwę i wszystkie były ze Słońca. A ono nie miało żadnej osobnej barwy, bo...

Anioł przede mną, korytarz, ceglane ściany i gwiazdne gotyckie sklepienia zamieniły się w białe pulsowanie wewnątrz czaszki.

W ostrym przeblysku ukazał mi się bliźniaczy tunel do tego, którym szliśmy, jego lustrzane odbicie – druga, podziemna strona. I wtedy go zobaczyłam. Tuż pod moimi stopami, odwrócony głową do dołu, kroczył potężny Miłosz jak wielki golem ze spiżu. Podeszwa przyklejona do podeszwy, dzieliła nas tylko warstwa podłogi. Poruszaliśmy się w jednym rytmie: robiłam krok, on też robił, stawałam w miejscu, on także stawał. Jako w górze, tako na dole.

Już po raz drugi tej nocy obudził mnie bosy cherubin, tak jak poprzednio kładąc dłoń na moim ramieniu. To mnie otrzeźwiło. Bez słów uśmiechnął się smutno, po czym wskazał na odwaloną płytę w suficie, przez którą wlewało się rozproszone niebieskie światło. Jeszcze się nie zdążyłam otrząsnąć po tamtej wizji, jeszcze pośmiertne ciało straszło popod podłogą. Zachęcił mnie gestem ręki, bym poszła pierwsza. Nie trzeba było powtarzać, jedyne, czego pragnęłam, to uciec z tych piwnic najprędzej. Mocno się podciągnęłam i z drobną pomocą, udało mi się niezdarnie wdrapać do sali.

Umorusani ziemią, wgramoliliśmy się w końcu oboje niczym powstańcy z kanałów i ukazała nam się przestronna krypta z gładkim, wklęsłym sklepieniem. Wypolerowana posadzka była upstrzona kurtkami i bluzami w najróżniejszych kolorach, na których porozwalani w rozmaitych pozycjach leżeli nasi znajomi. Kilkoro drzemało w kątach, między grobami.

– O, jesteś. Czekaemy już trzy godziny.

– Hej, co tak długo?

Zamiast udzielać wyjaśnień, bezzwłocznie rzuciłam się w stronę bloków. No, gdzie on był? Szukałam szaleńczym wzrokiem, musiałam się przekonać... O czym właściwie?

– Hej, wszystko w porządku?

Jest! Pozłacane litery tworzyły znajome imię i nazwisko: Jacek Malczewski. Solidny betonowy grobowiec wyglądał na nietknięty. Nie wiem, co wyobrażałam sobie zobaczyć, lecz odetchnęłam głęboko z ulgą.

– Jak najbardziej. Małe problemy techniczne.

– Okej, no to może rozwalmy to wreszcie i już chodźmy stąd?

– Właśnie, to był w końcu Twój pomysł.

Mój pomysł? Może cztery godziny oraz półtora promila temu owszem, ale tutaj, w podziemiach kościoła, wielki plan nie wydawał się już tak genialny. Chociaż nie ośmieliłam się na głos nic wypowiedzieć, rosła presja wiercących spojrzeń, wrogich grymasów – była wyraźnym znakiem, że inni zwęszyli moje wahanie. Światło księżyca wpadające przez małe piwniczne okienko, wykuło w ich twarzach srogie, surowe rysy.

Rosło napięcie i czułam, że włosy stają mi dęba jak zawsze, gdy chodzi o sprawy durno-wzniosłe. Może i jest w tym racja. Może nic ważniejszego na świecie nad rewolucje, głupie zrywy młodego serca i cuda nad cudami, nic, a nic w świecie. Nad nami cicho, w pustym kościele, co by nie było, Bóg w naszych rękach. To wielka chwila. Czułam czyjś oddech na plecach. Mój Anioł Stróż.

– Jeśli nie chcesz, to...

– Pójdź – pełna najgorszych przeczuć, przykazałam mu, wskazując grobowiec z litego kamienia.

Ciemne sklezione loki przylgnęły do zbladłej twarzy.

– Ja?

Zastygliśmy w wyczekiwaniu. Milcząco skinęłam głową. Zaskoczony, otworzył usta, lecz nie zaprotestował, powiódłszy wzrokiem po pełnych nadziei, zgłodniałych twarzach dokoła. Zgromadziliśmy się w półokręgu, czekając na jego kolejne posunięcie.

A on, wciąż z półotwartymi ustami, odwrócił się i skierował niespiesznie w stronę grobu zawalonego górą wiązanek i kłębowiskiem perłowo-złotych wstęg. Droga do postumentu, którą pokonywał – te kilka ostrożnych kroków wymierzonych z należytą powagą, dłużyła się w nieskończoność. W końcu zatrzymał się przy potężnym bloku i miękko odgarnął kwiaty z pokrywy, jednocześnie ważąc w zamyśleniu tępy kuchenny młotek, który trzymał w dłoni.

Anielebożystrózu...

Naraz zamierzył się, rąbnął z całej siły, rozłupując granitową płytę. Straszliwy grzmot rozniósł się echem po całej krypcie, białej teraz od drobin pyłu wznieconych przy uderzeniu. Trrrach! Drugi huk – lżejszy, prosto w złote zawiasy i głośnie metaliczne pęknięcie. Skuliłam się,

odruchowo, kryjąc głowę w dłoniach. Jeszcze pobrzmiwał raban – zdolny obudzić umarłego, pomyślałam. Spojrzeliśmy z lękiem po sobie. Nie mieliśmy wiele czasu.

Wciągnęłam powietrze. Duszno. Z boku widziałam dokładnie, jak Anioł mocuje się z ciężkim drewnianym wiekiem. Światłocien na skórze rzeźbił linie napiętych mięśni. Wtem zazgrzytało. Z przeciągłym, miauczającym skrzypieniem pokrywa się odsunęła. Wstrzymałam oddech. Miałam wrażenie, że przez sekundę na twarzy, między długimi włosami mignął złowróżbny cień. Jakby... przestach...? Czekałam. Wciąż nie oderwał wzroku od dna skrzyni. Próbowaliśmy zgadnąć cokolwiek, ale ściągnięte brwi nie dały po sobie poznać niczego; skonsternowane oblicze zastygło jak u woskowej figury.

– I jak?

Cisza.

– Musicie to zobaczyć.

Podeszliśmy.

Z bijącym sercem wychyliłam się do przodu, by spojrzeć w głąb trumny, lecz w żadnym scenariuszu nie byłam przygotowana na to, co zobaczę. Zakręciło mi się w głowie i uczułam, jak krew odpływa mi z członków, porzucając wiotki, bezwładny szkielet. Czy zdarza się, czy jest, czy jest to możliwe? Mrugałam zawzięcie raz za razem i zaciskałam oczy, stojąc, nie wierząc zmysłom, zdrętwiała jak w sennym koszmarze. Zdarza się? Zleżały atlas, który wyściełał dno trumny, bielił się pysznie, jedwabnie, jakby na drwinę. Proza! Proza! Proza!

Nicość. Teraz.



Jim Dine, *Portret Czesława Miłosza*, (l. 80. XX w.)



Vampyr – Der Traum des Allan Grey, rež. Carl Theodor Dreyer, zdj. Rudolph Maté, Louis Née (1932)

Przybysz

Mdle światło żarówki padało na posiwiałe włosy, których kosmyki przykleiły się do spoconej głowy, pękającej od urwanych słów w słuchawce telefonu, niedoczytanych nagłówków gazet. Krzykliwych. W ciszy. Tylko mucha przeleciała nad odstającym uchem. Mężczyzna poprawił opadającą grzywkę. Jeszcze musiał wyglądać przyzwoicie. Podrapał się po długim nosie, z przyzwyczajenia, żeby udowodnić sobie, że nie zwariował. Z czapki na biurku smutno spoglądał orzeł w koronie. Mężczyzna założył znoszony płaszcz pamiętający czasy bez korony. Westchnął ciężko. Jak każdego wieczoru przed wyjściem. Zerknął jeszcze na młodego, który wczytywał się w przebieg akcji powieści za pięć złotych. Czuł litość na widok tego skończonego zapaleńca z gatunku ludzkiego.

– Tylko pamiętaj, że nie siedzisz tu dla przyjemności – rzucił w kierunku czytającego.
– Pamiętaj, pełna gotowość! Rano nie chcę widzieć tutaj jakiegoś bajzlu. Już mam dosyć nieprzespanych nocy.

Wyszedł. Młodzieniec nawet nie usłyszał trzasku zamykanych drzwi. Nie chciał widzieć podkrążonych oczu i nerwowo unoszącej się grdyki. Poczul znużenie na kolejnej kartce składającej się ze zdań, wyrazów, liter. Już nie rozpoznawał znaczenia słów. Uniósł opadające powieki w poszukiwaniu ulubionego kubka ze Świętym Mikołajem. Znalezione. Czekał na biurku na sypaną kawę. Wsypał dwie łyżeczki. Jak uczono. Zalał wrzątkiem z czajnika. Jak uczono. Do tego dwie kostki cukru i łyżeczka tańcząca w kubku. Raz, dwa, trzy...

Kubek spadł na podłogę, rozpadając się na drobne kawałki. Czarny deszcz lunął na umyte płytki koloru nijakiego. Pozostawił ślady na meblach, lakierkach. Młodzieniec splonął rumieńcem. W końcu nie powinien bać się... człowieka. Przy biurku rozsiadł się wygodnie mężczyzna. Posiwiały, z długim nosem i często poruszającą się grdyką. Majestatycznie zdejmował melonik, dbając o włosy przylegające do skóry głowy.

Młodzieniec opanował się nieco. Nerwowymi ruchami nogi zaczął przesuwac fragmenty kubka za siebie, w kąt. Przetarł szybko podłogę ręcznikiem papierowym. Czuł na sobie spojrzenie mężczyzny, choć ten przyglądał się mdłym ścianom. Młodzieniec chciał nawet odezwać się, lecz to człowiek w czarnym płaszczu, z grobową miną pierwszy przerwał milczenie.

– Jeśli możesz, młody przyjacielu, chętnie napiłbym się z tobą kawy – powiedział, a po chwili dodał. – Syp do jednej czwartej kubka, lubię silny bodziec.

Lekko zawstydzony młodzieniec posłusznie wykonał polecenie. W pomieszczeniu znowu zaskowyczał przypalany czajnik. Tym razem gorący napój znalazł się na biurku, w nienaruszonych kubkach. W tym czasie mężczyzna zdążył rozsiaść się wygodnie. Spod powieszonego na krześle płaszcza ukazał się czarny garnitur wraz z białą koszulą. Mężczyzna wypił łyk kawy, nie bacząc na ciekawe spojrzenia. Młodzieniec w końcu opanował się, przyznając sobie w duchu, że to tak naprawdę zwykła sytuacja.

– Proszę mi wybaczyć chwilowe zmieszanie – tłumaczył się – ale byłem przekonany, że jestem tu sam.

Mężczyzna tylko pogardliwie spojrział na młodego. Na te ciekawie błyszczące oczy przy mdłym świetle. Na lśniąca odznakę przypiętą do niebieskiej koszuli. Zmrużył groźnie brwi, przez co młody zasępił się. Nagle na twarzy mężczyzny pojawił się serdeczny uśmiech. Zaczął śmiać się, jak gdyby właśnie usłyszał świetny żart. Szybko jednak przestał. Wrócił groźny mars. Nad jego głową przeleciała mucha.

– Ludzie różnie reagują – mówił mężczyzna. – Zależy od specyfiki postaci.

– Po prostu byłem zaskoczony pana obecnością – szukał usprawiedliwienia młodzieniec.

– Zawsze jestem przyczyną zamieszania.

Roześmiał się rubasznie. Młodzieniec zawtórował mu niepewnie. Pogodny uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny na rzecz nic niemówiącego grymasu. Chłopak także wstrzymał się od ukazywania wesołości. Wpatrywał się niepewnie w tę statyczną, wręcz posagową twarz. Śledził drobne pajęczyny rozsiane od czoła do podbródka. Ujrzał ledwie widoczną bliznę nad lewym uchem. Rzęsy, powieki, tęczęwki, źrenice. Potem spojrział na ponure twarze wiszące na ścianach na kartkach z napisem „List gończy”.

– Przepraszam, ale właściwie nie znam pana – powiedział młody.

– Ach, tak... – zamyślił się mężczyzna. – Mieszkam od niedawna tu – w pobliżu. Właściwie całe życie na walizkach. Cóż, interesy... Czasami zazdroszczę ci, młody przyjacielu, twojego uporządkowanego życia – powiedział przymilnie.

– Jednak skąd pan może cokolwiek o mnie wiedzieć? – podtrzymywał żartobliwy ton młodzieniec. – No dobrze, skoro tak, to co może pan o mnie powiedzieć?

– Sam tego, przyjacielu, chciałeś – zaśmiał się mężczyzna, po czym zmarszczył brwi. – Jesteś młody, dopiero po szkole. Pracujesz tu nie dłużej niż miesiąc, stąd twoje ogólne zakłopotanie. Boisz się komendanta, dlatego każdy dokument układasz starannie na biurku. Nawet rachunek za benzynę – wskazał na leżący kwit. – Mieszkasz z mamą...

– Zaraz, zaraz, skąd pan o tym wie? – spytał zaskoczony i nieco rozeźlony młodzieniec.

– Rzadko zdarza się, żeby młody mężczyzna aż tak dbał o schludny wygląd... koszuli.

Młodzieniec zawstydział się.

– Jestem pod wrażeniem – przyznał.

– To tylko drobiazg – bagatelizował mężczyzna. – Informacje uzyskane dzięki szybkiej obserwacji. Stać mnie na więcej, dostrzegam więcej – chytrze uśmiechnął się.

Przybysz znów rozglądał się po pomieszczeniu. Rozwieszane listy gończe. Ściany w kolorze mdłym. Podłoga koloru nijakiego. Jakies meble. Znowu listy gończe. Roztrzaskany kubek.

– Całkiem przyjemnie tutaj macie – powiedział. – Ale przydałyby się zmiany...

– Raczej niemożliwe, przynajmniej w najbliższym czasie... – odparł młodzieniec, ziewając.

– Ostatnio dostaliśmy nowy radiowóz.

– Tak... – skrzywił się mężczyzna. – Coś nawet czytałem na ten temat. Był taki nagłówek w gazecie: „Nowy radiowóz dla policji”. Szkoda, że nikt o tym nie czyta.

Cisza. Tylko mucha przeleciała nad głową mężczyzny. Młodzieńca zaintrygowała tajemnicza postać. Chętnie uczestniczył w tej nietypowej rozmowie. Była warta więcej niż pięć złotych. Wpatrywał się w nieruchomą twarz swojego rozmówcy. Zastanawiał się nad nagłymi wybuchami śmiechu i innymi oznakami życia. Sposób prowadzenia rozmowy odpowiadał mu, lecz zarazem odczuwał dyskomfort, którego nie potrafił określić. I jeszcze ta wściekle latająca mucha. Chciał zabić ją grubą okładką książki. Mężczyzna uśmiechnął się, usłyszał niewypowiedzianą myśl młodego.

– Zasadniczo to ja jestem w pracy... – zaczął młodzieniec.

– Wiem – wtrącił jego rozmówca.

– I nie powinienem... To znaczy nie chcę pana wyrzucać, ale...

– Ale ja wszystko rozumiem. Ja tutaj tylko na chwilę – uśmiechnął się.

Chwila trwała, sekunda za sekundą. Przy akompaniamencie tykającego zegara. Nastąpił chwilowy spadek napięcia. Żarówka zamrugwała. Obaj uśmiechali się serdecznie jak starzy znajomi siedzący przy gorącej kawie. Jeden śledził ruch i bezruch drugiego. Młodzieniec próbował patrzeć gdzieś indziej, szukać usprawiedliwienia dla pokonującej go ciekawości. Ściany, podłoga, meble.

– W takim razie porozmawiajmy – zaproponował młodzieniec.

– Przecież rozmawiamy – uśmiechnął się mężczyzna. – Przecież nie masz nic lepszego do roboty.

– Kto wie, może odwiedza mnie tu pewna młoda kobieta – rzucił wesoło.

– I pan by tylko przeszkadzał.

– Doprawdy? To raczej niemożliwe – utrzymywał żartobliwy ton mężczyzna. – Marzysz w nocy o kobiecie, której nie ma. Rano dziwisz się sobie, że znowu śniłeś. Sen morderca. Śniesz na jawie. Pożerasz każde słowo, szukając tego najważniejszego. Przytulasz się do otwartej książki, żeby tam znaleźć siebie, wsiąknąć w kartki. Żeby poczuć dotyk dziewczyny, która przedtem ją czytała. Zgiąłeś kartkę na stronie dwieście trzy, myśląc, że podtrzyma to twoją nadzieję. I obrażasz wszystkich, którzy tłustymi palcami przewracali kartki. Sam przewracasz tłustymi palcami kartki. Raz, dwa, trzy...

– Pan mnie obraża? – spytał spokojnie młodzieniec, choć chciał wykrzyknąć to pytanie.

– To kwestia poczucia humoru – rzekł przymilnie zapytany. Wstał, poklepał przyjaźnie w bok towarzysza siedzącego po drugiej stronie biurka.

Młodzieniec zastanawiał się nad przed chwilą usłyszonymi słowami. Popadał w swego rodzaju stan apatii. Nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć na tego typu zdania, słowa, głoski. Dopił kawę do końca, zimną już. Myślał, że dzięki niej znajdzie w sobie więcej energii. Animuszu. Czegoś albo niczego... Mężczyzna znowu uśmiechał się przymilnie. Jego oczy błyszczały nienaturalnie, by po chwili naturalnie gasnąć. Chwila za chwilą. Już zaczynał irytować swoją postawą. Bardziej niż te wszystkie głowy patrzące z listów gończych. I ten rachunek ze stacji benzynowej.

– Chciałem zgłosić zaginięcie zegarka – tłumaczył swoją wizytę mężczyzna. – Prawdopodobnie został skradziony, kiedy byłem zajęty interesami. Nie miałem go przy sobie, nie potrzebowałem. Został w walizce, może na walizce – nie pamiętam. Dziwię się, że ktoś ważył się akurat mnie okraść... Tu mam dokument zakupu wraz z dokładnym opisem zegarka.

Chłopak niechętnie zabrał się za papierkową pracę. Wypełnił wszystkie rubryki formularza zgłoszenia kradzieży. Nie zastanawiał się nad tym, co pisze. Ostatnio nie cieszyli się największą wykrywalnością przestępstw. Kątem oka starał się obserwować statyczną postać. Nie potrafił nic przeczytać z tej twarzy. Może tylko nienagannie wygolony podbródek.

– Pan to musi mieć ciekawe życie... – młodzieniec rozpoczął nowy temat.

– Dziękuję, nie narzekam – odparł tamten. – Ciągle mam kontakt z ludźmi. Interesy idą dobrze.

– O właśnie – interesy! O to chciałem zapytać.

– To nic ciekawego, właściwie nie ma o czym mówić. Trzeba gdzieś pojechać, coś załatwić. Nie mogę o wszystkim mówić wprost – tajemnica – uśmiechnął się. – Ale najbardziej w tym wszystkim lubię właśnie kontakt z ludźmi. A także oglądanie ich reakcji, zachowania, życia...

– Pan zapewne lubi zaskakiwać...

– Nie bardziej niż ty, młody przyjacielu, albo ktoś inny. Ja po prostu robię to w nieco inny sposób. Widzisz, przyjacielu, potrafię czerpać przyjemność ze słów.

– A właściwie dlaczego nazywa mnie pan przyjacielem?

– Czy to źle? – niespodziewanie uniósł brwi mężczyzna. – Myślałem, że mogę sobie na to pozwolić.

– Nie to miałem na myśli.

– Wiem.

Młodzieniec nie mógł znieść świdrującego spojrzenia tamtego. Nie miał czym się bronić. Stał nagi wobec wzroku. Być może tylko czuł nagość. Może wmówił ją w niego ten mężczyzna. Przecież nie mógł, nie powinien... Sztuczka? Na stronie dwieście pięćdziesiątej piątej było coś na ten temat. Chłopak spuścił wzrok jak skarcone dziecko. Żadnej więcej powieści za grosze!

Przypomniawszy sobie o resztkach kubka na podłodze. Wstał, aby znaleźć zmiotkę. W kantorku. Szybko pozbywał się wszelkich śladów rozbitego naczynia. Obiecał sobie jeszcze tego samego wieczora wyrzucić śmieci. O mężczyznę wtedy nie dbał. O to, czy patrzył i gdzie. Miał już dosyć jego wzroku. Przynajmniej na ten moment. Mógł sobie pozwolić na wstanie zza biurka, rozprostowanie kości. Najchętniej kompletnie zignorowałby gościa, wyszedł, gdyby nie czuł przywiązania, konieczności rozmowy.

– Pan lubi zaskakiwać – stwierdził.

– Myślałem, że mamy to już za sobą... Dokładnie to samo powiedział komendant – odparł mężczyzna, poprawiając się na krześle.

– Pan zna komendanta?

– Znam wiele osób. Komendanta znam lepiej niż ty, przyjacielu. Nie zdziwisz się chyba, gdy powiem, że znam go lepiej niż on sam siebie. Wiesz, obserwacja i takie tam – mrugnął okiem.

– Dziwię się, że nie uczą was tego w tych waszych szkołach, nie piszą w książkach. Tak na marginesie, to by mogło się nawet przydać.

– Może pan powinien zająć moje miejsce? Tu – za biurkiem.

– O nie, dziękuję – roześmiał się przybysz. – Moje jest wystarczająco wygodne. Zresztą, jeśli będę chciał, to zmienię, nie muszę ciebie, przyjacielu, nawet informować.

Młodzieniec miał wrażenie, że uczestniczy w jakiejś grze, o której zasadach nie miał pojęcia. Pewnie został wcześniej o nich poinformowany, lecz umknęły gdzieś między stroną osiemdziesiąt siedem a trzysta sześćdziesiąt sześć. Usilnie starał się przypomnieć sobie wszystkie ostatnio przeczytane kartki. Próbował.

– A gdybym powiedział, że komendant jest tu w pobliżu, martwy? – zabrał głos mężczyzna.

– Przecież właśnie pan to mówi – roześmiał się młody, lecz przestał, nie widząc oczekiwanej zmiany na twarzy rozmówcy.

– Tak... Potrafisz operować słowami. Idzie ci całkiem nieźle... Ale jeszcze jesteś za młody, żeby wszystko... zobaczyć. Pewnie nie interesuje cię, młody przyjacielu, spis książek przeczytanych przez komendanta. Ani żadna rzecz, która jego... była. Nie obchodzi też cię, przyjacielu, nic co by mogło obchodzić. Nie znasz siebie. Nie wiesz, że twój ulubiony kolor to biały, chociaż myślałeś, że to biały. Nie widziałeś mnie wcześniej i nie myślałeś, że mogę cię, przyjacielu, widzieć. Znać. Bardziej niż ty siebie. Swobodnie mogę nazywać cię, przyjacielu, przyjacielem, ponieważ widziałem więcej od cię. I możesz łudzić się, że przewrócisz kolejną kartkę i znajdziesz idealny szyk zdania. Prawdziwą ucztę literacką. Lecz zapominasz o słowach. Literach, które je tworzą.

Cisza. Bardziej nieprzyjemna niż te wszystkie wcześniej. Wdech, wydech. Mucha przeleciała nad głową. Mdłe światło padło na plik uporządkowanych kartek. Podłoga pozostała nijaka, ściany mdłe. Lakierki i meble ubrudzone kawą.

– Ale przecież mówił pan, że komendant jest martwy – powiedział wystraszony i zmęczony młodzieniec.

– Weź jutro do ręki gazetę, może znajdziesz – odparł. – Jeśli potrafisz szukać. Nie podam ci, przyjacielu, numeru strony.

Wstał. Zaczął zakładać płaszcz. Zasunął krzesło. Spojrzał jeszcze na ściany z wiszącymi listami gończymi. Uniósł melonik. Miało się wrażenie, że kłaniał się komuś nieobecnemu, wymyślonemu. Uśmiechnął się, by następnie przybrać surową minę. Nacisnął na klamkę, jednak nie wyszedł. Czekał. Na ruch młodego. Świadek jego obecności. Czuł się zobowiązany do znalezienia pretekstu, aby pozostać. Nie mógł znaleźć. Sprawdzał zapięte guziki płaszcza.

– Właściwie nie rozumiem jednego – młody zdecydował się zabrać głos – dlaczego to wszystko? Czemu miał służyć cały ten czas? Po co były te wszystkie tajemnice, niejednoznaczne słowa?

Mężczyzna uśmiechnął się. Uniósł delikatnie melonik. Odwrócił głowę w stronę siedzącego młodzieńca, by rzucić zagadkowo:


– Zobaczysz – po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

(27.06.2019)



Rene Magritte, *Le maître d'école* (1955)

DJUNGELSKOG

 trzeź się, czytelniku! Strzeż się tego, co udaje, ukrywa się, chowa swoje prawdziwe intencje pod maską. A maska ta... jest piękna – złota jak bogactwa największych mocarstw i niebieska jak sfera nad naszymi głowami. Ja przypadkiem zdarłem te kolory i ujrzałem pod spodem prawdę.

Początek tego dnia, nie zapowiadał horroru, który miał nastąpić później. Miotłem się z miejsca na miejsce, załatwiając najróżniejsze sprawy, i zrzędzeniem losu, po całym dniu biegania znalazłem się daleko od centrum miasta. Był to grudzień, więc już kilka godzin po południu przestrzeń za szybą mojego samochodu była zalana mglistym cieniem. W połączeniu z wyczerpującym dniem, stanowiło to prawdziwie usypiającą mieszankę. Postanowiłem więc zatrzymać się w okolicy, odpocząć chwilę, zjeść coś i ruszyć w dalszą podróż. Gdy tylko ten pomysł pojawił się w mojej głowie, ujrzałem światło. Zza mgły wypłynął wielki, przytłaczający kształt – złoto-niebieska bryła IKEI.

Od razu się rozbudziłem. Nie byłem tam od miesięcy, lecz natychmiast przypomniałem sobie wszystkie głębokie uczucia związane ze szwedzkim kolosem. Przypomniałem sobie dziecięcą ekscytację związaną z eksploracją kolejnych pomieszczeń. Przypomniałem sobie przytulność i prywatność tych, odwiedzanych przecież przez tysiące, ekspozycji. Przypomniałem sobie dziecięce lata i moje ulubione, pochodzące stąd meble i zabawki: kolorowe koraliki, z których układałem fantastyczne obrazy, obracający się, przypominający jajko fotel, zamykany materiałowym kapturem, i przede wszystkim pluszowego pytona – mojego najdawniejszego przyjaciela, pierwszą przytulankę, wieloletniego towarzysza zabaw, tragicznie poległego w paszczy mojego kilkumiesięcznego wówczas psa. Przypomniałem sobie również tutejsze jedzenie. To wystarczyło, żebym natychmiast skierował się na parking.

Zatrzymałem się. Zostawiłem za sobą samochód i niczym w transie, ruszyłem w stronę tego nordyckiego sanktuarium praktycznego piękna, malującego się przed moimi oczami. Drzwi otworzyły się przede mną. Schody same ruszały pod moimi stopami, zapraszając na pierwsze piętro. Wreszcie, byłem tam – w labiryncie tekstur i barw, którego brakowało mi od tak dawna.

Na początku, czekał na mnie dział pokojów dziennych. Pozwoliłem, by prowadził mnie instynkt. Powędrowałem więc do przestrzennego salonu, emanującego wyjątkowym nastrojem.

Stojąca na środku, trzyosobowa sofa EKTORP, niski podnózek STRANDMON i długie zasłony LEIKNY pokryte były tym samym, zabawnym kwiatowym wzorem, nadającym tej przestrzeni prawdziwie unikatową aurę. Wokół mnie tańczyły kolory – morski i bordowy.

Chwilę później znalazłem się w spokojnej, poważnej jadalni. Czarny stół IGATORP stał na beżowym dywanie LOBBÄK. Palety dopełniały jasnoróżowe talerze DINERA ułożone na blacie.

W kuchni dominował blat BARKABODA oświetlony ledem OMLOPPU. Jego świetność podkreślona była cudownym zestawieniem HÄLLVIKENU i TOLLSJÖN.

Następnie w sypialni NEIDEN, HAFSLO i godna króla ROSENSKÄRM, zaprawdę sprawiły, że poczułem swobodę i odprężenie, jakich moje zmysły nie znały od tygodni. Leżałem więc. Leżałem i marzyłem. Marzyłem o tych właśnie wnętrzach. O tym, że kiedyś mogą stać się moim życiem. I tak, w świetle JAKOBSBYNA, ujrzałem siebie, leżącego w tym samym miejscu, z miłością mojego życia obok. Poczulem zapach kawy o poranku. Usłyszałem śmiech dzieci, szczekanie rozbawionego psa. I to wszystko – i ja, i miłość, i poranek, i kawa, i dzieci, i pies pokryte były kwiecistym wzorem STRANDMONU.

Poruszyłem się na łóżku i poczułem ucisk na plecach. Podniosłem się. Na materacu leżał drewniany ołówek. Uśmiechnąłem się do siebie. Na przestrzeni lat ukradłem pewnie kilkadziesiąt albo kilkaset takich. Teraz, gdy zwróciłem na nie uwagę, byłem w stanie spostrzec, że leżały wszędzie. W każdym pomieszczeniu, na stołach, na blatach, w szafkach i szufladach – ołówki z czarnym napisem IKEA, wyciągały z immersji tej wymagowanej rzeczywistości, jaką zwiedzałem.

W końcu, po wędrówce, która mogła trwać całą wieczność, trafiłem do idylli – na dział pokojów dziecięcych. Wokół mnie jawiły się artefakty moich najwcześniejszych lat. Jak to możliwe, że po tak długim czasie, to wszystko wciąż było na swoim miejscu? Kanciaste słoiki koralików PYSSLA piętrzyły się na półce. W rogu pomieszczenia stał obracający się fotel LÖMSK. Na samym środku, na dywanie, leżał natomiast pluszowy pyton – DJUNGELSKOG zwinięty w pętlę. Schyliłem się nad nim i rzekłem tak, jakbym odzywał się po raz pierwszy od wieków

– Witaj, stary druhu! – Poglaskałem głowę węża. – Jak żyło ci się przez te wszystkie lata? Wybacz, że zostawiłem cię z tą bestią. Skąd miałem wiedzieć, że teriery szkockie potrafią być tak niebezpiecznymi potworami? Nie zasłużyłeś na ten los. A jeśli zastanawiasz się, co u mnie, życie jakoś idzie do przodu. Wyprowadziliśmy się z Dziewanowskiego rok po twojej śmierci. Potem jeszcze trzy lata...

Przerwałem. Usłyszałem bowiem prosty i cichy dźwięk, który równie dobrze, mógł być tylko efektem płatającej mi figle wyobraźni – syk. Nie był to jednak krótki syk. Trwał kilka sekund.

Wystarczająco długo, bym mógł się na nim skupić. Co jeszcze dziwniejsze, wydawał go sam wąż. Podniosłem się, lecz dźwięk nie ucichł. Oglądałem się jeszcze kilka razy na gada, odchodząc.

Skierowałem się w stronę wyjścia. Przynajmniej, tak mi się wydawało. Nie wiem, jak to możliwe, ale idąc stale wedle wskazówek namalowanych na podłodze, trafiłem znowu na dział pokoiów dziennych. Główne wejście powinno być gdzieś niedaleko. Najwyraźniej jednak, wejścia nie interesowało, jakie są jego powinności. Zamiast niego odnajdywałem jedynie kolejne salony, w tym takie, których – jestem w stanie przysiąc – nie było tam, gdy byłem tu za pierwszym razem. Wszedłem do jednego z pomieszczeń. Rozejrzałem się, chcąc upewnić się, czy nie odwiedzałem go już wcześniej. Przestrzeń wokół, faktycznie wydawała się przedziwnie znajoma, jednak zdecydowanie nie znałem go z dzisiejszego spaceru. Może się to wydawać absurdalne, lecz odnosiłem wrażenie, jakby kolory, wymiary i ułożenie mebli próbowało imitować jakieś znajome mi wnętrze. Poczułem dreszcz. Tego było już za wiele. Chciałem opuścić tą ponurą galerię niesamowitości.

Ruszyłem dalej, lecz im bardziej próbowałem odnaleźć wyjście, tym bardziej hala sklepu zdawała się zmieniać. Nie była już właściwie halą. Przypominała raczej korytarz prowadzący do kolejnych, coraz bardziej znajomych mi pomieszczeń. Niezależnie od tego czy tego chciałem, czy nie, mój umysł zaczął otwierać się szerzej i szerzej, aż uwięzione w jego najgłębszych czeluściach wspomnienia, były zdolne wydobyć się na powierzchnię. Ujrzałem je wszystkie i widziałem jak wlewają się w pokoje. Sypialnia, którą miałem przed oczami, nie była już po prostu dziwnie znajoma. Była pokojem moich rodziców z pierwszego domu, w którym mieszkałem z rodziną. W kuchni spostrzegłem książki, z których moi rodzice czerpali przepisy. Na jednej ze ścian korytarza dostrzegłem zdjęcia moje i mojego rodzeństwa. Pokój dziecięcy natomiast był moim pokojem w całej okazałości. Na niskim drewnianym biurku leżały moje niedokończone rysunki, a obok nich kolejne drewniane ołówki. Na kanciastym regale stały znajome zabawki i książki, a na łóżku... Pyton, zwinięty w pętlę, z końcówką ogona włożoną do paszczy. Wydawał się patrzeć na mnie z zainteresowaniem.

Dopiero w tamtej chwili, stojąc u progu swojej przeszłości, poczułem, jak mocno bije moje serce.

– Co się tu dzieje?! – spytałem węża, oskarżycielskim tonem. – Czy to ty stoisz za tym koszmarem na jawie, który teraz przeżywam?! Czy to ty jesteś złowrogim bogiem tego królestwa iluzji?!

Wąż nie zareagował. Nie ruszał się. Jego spojrzenie pozostało utkwione we mnie, spokojne, cierpliwe i niemalże rozbawione. Zdawał się czekać, aż dziecko, które zawsze potrzebowało go przy sobie do snu, uspokoi się i wróci do łóżka.

W powietrzu unosił się zapach świec waniliowych, uwielbianych przez mojego starszego brata. Jeśli to była iluzja, to dlaczego nawet pachniała jak rzeczywistość? Dlaczego za oknem widziałem swój ogródek i słyszałem dochodzący z niego dźwięk włączonego zraszacza? Spojrzałem raz jeszcze na gada.

– Być może jestem tu nie bez powodu. Starasz się mi o czymś przypomnieć? Nauczyć mnie czegoś?

Waż wydawał się usatysfakcjonowany moimi słowami.

– No dobrze – powiedziałem, rozglądając się po raz ostatni po pokoju. – Pokaż mi więc, co jeszcze czeka na mnie w tym dziwnym świecie.

Odwróciłem się i wyszedłem na korytarz, tym razem wiedząc już, czego mogę się spodziewać

IKEA zaczęła ponownie zmieniać się wokół mnie. Po chwili znalazłem się w swoim kolejnym domu – w mieszkaniu na Dziewanowskiego. Spokojnie zwiedzałem kolejne pokoje. Oglądałem rodzinne albumy, czytałem książki, które już dawno zostały oddane, usiadłem też w fotelu, w którym mój pies zawsze układał się do snu. Ponownie spotkałem też pytona, zwiniętego w ten sam sposób na moim łóżku.

Nie minęła chwila, a dotarłem do kolejnego mieszkania. Ono również było idealną kopią.

– Dokąd mnie prowadzisz, przyjacielu? – spytałem węża usadowionego na moim biurku. Liczyłem, że wreszcie z jego oczu wyczytam jakieś podpowiedzi. Jego spojrzenie było jednak nieprzeniknione.

Nie jestem w stanie powiedzieć, jak długo oglądałem swoją przeszłość. Mogło minąć kilka, a może nawet kilkanaście godzin, zanim znalazłem się w swoim aktualnym mieszkaniu. Gdy w końcu tam dotarłem, prawie uwierzyłbym, że wszystkie wcześniejsze doświadczenia tej podróży były tylko majakami zmęczonego umysłu, gdyby nie fakt, że znajomy pluszak był obecny również tutaj.

– To było wspaniałe! – rzekłem. – Dokładnie tego było mi potrzeba, w tych ponurych czasach. Jestem ci dozgonnie wdzięczny.

Usiadłem przy stole kuchennym. Nie chciałem odchodzić. Świat na zewnątrz był ciemny, mglisty i pełen trudów. Oparłem się o blat i poczułem kolejny drewniany ołówek. Westchnąłem głęboko, wstałem i skierowałem się do wyjścia. Otworzyłem drzwi i ujrzałem kolejny korytarz. Stałem jak wryty.

– Co jeszcze masz mi do pokazania? – zawołałem.

Odpowiedziało tylko echo.

– No dobrze. – Zamknąłem za sobą drzwi. – Przekonam się na własnej skórze.

Salon, który pojawił się po chwili przede mną, był prawdopodobnie punktem, od którego nie było odwrotu. W momencie, w którym zdecydowałem się przekroczyć jego próg, skazałem się na klątwę, która ciąży na mnie dziś. Salon ów był bowiem salonem mi obcym. Nigdy nie byłem w tym pomieszczeniu. Jego zapach był obcy. Widok z za okna był obcy. Znajome jednak były rzeczy. Były tam zarówno meble z mojego aktualnego mieszkania, jak i trzyosobowa sofa EKTORP, niski podnóżek STRANDBLONK i długie zasłony LEIKNY pokryte tym samym, kwiatowym wzorem. Na ścianie, w ramce, widniały zarówno znajome mi zdjęcia z dzieciństwa, jak i takie, których jeszcze nie zrobiono. Większość z nich przedstawiała dzieci. Trójkę szkrabów, z czego dwójka przypominała mnie w niewiarygodnym stopniu. Na największej z fotografii byłem ja, druga, obca i niezwykle piękna, osoba i wszystkie trzy dzieciątka. Zalało mnie uczucie ciepła. Patrzyłem oniemiały przez kilka sekund. Czy można czuć nostalgię, do czegoś, co jeszcze nie nastąpiło? Zrobiłem krok w stronę zdjęcia i niemalże upadłem, potykając się o małą lokomotywę na baterie.

„LILLABO” – usłyszałem w myślach. Nie zwróciłem na to większej uwagi. Podniosłem lokomotywę. Była poobijana od bardzo intensywnej zabawy. Gdy rozejrzałem się po pomieszczeniu, spostrzegłem jeszcze więcej śladów działalności dzieci. Na półkach poustawiane były zarówno moje ulubione książki, tytuły, po które chciałem sięgnąć od „Jak i takie”, o których w życiu nie słyszałem. Co jednak ważniejsze, były tam albumy, które natychmiast pochłonęły całą moją uwagę.

Nie wiem, ile dni spędziłem w tym mieszkaniu. Każdy skrawek jego powierzchni przepelniony był historią, uczuciem i jeszcze jakąś nienazwaną magią. Przed opuszczeniem go, odwiedziłem węża w pokoju dziecięcym. Zdjąłem też ze ściany w salonie jedno ze zdjęć. Postanowiłem zabrać je ze sobą.

Mimo że w tym momencie powinienem już nauczyć się czegoś z popełnionych błędów, znów uwierzyłem, że drzwi wyjściowe, będą faktycznym wyjściem. Zamiast tego ujrzałem to samo wnętrze, ale przemalowane i umeblowane na nowo. Były tam również osobne pokoje dla o wiele starszych dzieci i wiele nowych zdjęć, co szczególnie mnie ucieszyło. Tym razem jednak zakończyłem wizytę po zaledwie kilku godzinach. Otworzyłem drzwi po raz kolejny i ponownie przesunąłem się o kilka lat w przyszłość.

Musiało minąć jeszcze kilka takich cykli, zanim zacząłem rozumieć, horror mojego położenia. Z każdym kolejnym etapem znikало coraz więcej znajomych mebli, zdjęć i pamiątek. Dzieci dorosły. Pojawiły się wnuki. Kilka przekroczonych progów później znalazłem się w mieszkaniu jednego z moich dzieci. Tam nie było już żadnego pierwiastka mojego dawnego życia.

SVATSUM w sypialni, KLIPPAN w salonie, EKRAR w przedpokoju.

Chodziłem z pokoju do pokoju, widząc, jak wszystko staje się syntetyczne i obce. Nie były to jednak po prostu, nieznane mi wnętrza z IKEI. Były to wnętrza, które pozostawiły mnie za sobą.

EKORRE u dzieci, MAXIMERA w kuchni, VALLAMOSSE w łazience.

Pozostały tylko dwie niezmiennie rzeczy. Ołówki, które wypełniały każdy kąt, piętrzyły się na półkach, leżały na podłodze, i Wąż.

– Uwolnij mnie, błagam! – zawołałem do pluszaka, zwiniętego w pętlę na dziecięcym łóżeczku. Dopiero wtedy zrozumiałem, że to nie był mój przyjaciel z dzieciństwa. Nie był to również władca tego demonicznego wymiaru. To był tylko i wyłącznie DJUNGELSKOG w pokoju dziecięcym.

UPPLAGA w jadalni, RANARP w korytarzu, SVALNÄS w gabinecie.

Książki na półkach nie mówiły już nawet w ludzkich językach. Powtarzały jedynie piekielną mantrę „Jag stod i mitten av min levnads bana då i en nermörk skog jag mig befann, där ej mer väg och stig jag kunde ana.” .

VIMUND, KONGSFORS i FESTHOLMEN kręciły się w szaleńczym tańcu.

Biegłem po RAKLEVACH, LANGSTEDACH i IBSTEDACH, ogłuszony sykiem DJUNGELSKOGA, aż w końcu wpadłem przez kolejne drzwi. Zamknąłem je za sobą. Syk ucichł. Wokół panował półmrok. Minęła chwila zanim moje oczy przyzwyczyły się do niego. Stałem we wnętrzu katedry oświetlonej jedynie pojedynczymi HEMSJÖ. Wokół, na ścianach powieszono były ołówki – jeden obok drugiego. Pokrywały każdą powierzchnię. To jest właśnie prawdziwe oblicze tego miejsca. Znajdowałem się w świątyni.

Zrobiłem krok do przodu i spostrzegłem, że na przeciwległym końcu sali, znajduje się jakaś postać. Stała na podwyższeniu. Ruszyłem w tamtą stronę. Nieznajomy ruszył mi na spotkanie.

– Ktoś ty? – zawołałem, a echo powtórzyło. – Wyznawca? Kapłan? Bóg? Co się tu...

Byłem już kilka metrów odeń, gdy spostrzegłem, że moim celem jest lustro.

– Co to ma znaczyć? – rzuciłem.

Zrobiłem kolejne kilka kroków. Postać w lustrze naśladowała każdy mój ruch, ale przecież nie mogła być mną. Była znacznie większa ode mnie, naga i owłosiona. Jej stopy były krótkie i zdeformowane, a twarz... Nie miała twarzy. Miała pysk, wyrastający z potężnej głowy byka, zwieńczonej wielkimi rogami. Chciałem krzyknąć, lecz z mojego gardła wyrwał się jedynie przeciągły, nieludzki ryk.

Nie pamiętam zbyt wiele z dalszego biegu wydarzeń. Na pewno złapałem długi metalowy przedmiot i zacząłem uderzać nim o lustro. Na pewno się rozbiło. Pamiętam też światło, jakie biło zza rozbitej tafli. Nie pamiętam jednak, jak trafiłem do domu. Od tamtego czasu nie wychodziłem.

Co chwila muszę spoglądać w lustro, żeby upewnić się, że nadal jestem człowiekiem. Nie mogę skupić się na niczym. Ciagle przeżywam to, co widziałem w głębi labiryntu. Wiem, jak wielkie ma to znaczenie dla całej ludzkości. Dlatego postanowiłem spisać swoje przeżycia. Chciałem ostrzec ludzkość. Zachęcić do walki. Chciałem to zrobić, jednak w trakcie pisania, zorientowałem się, że trzymam w dłoni drewniany ołówek.



Leonora Carrington, *And Then We Saw the Daughter of the Minotaur!* (1953)

Upiór

Wodłapanie skromnego etatu w miejscowym teatrze było dla Wiktorii jak manna z nieba. Świeżo upieczeni studenci nie należą do najbogatszej grupy społecznej. Matka Wiktorii przesyłała jej oczywiście co miesiąc jakieś środki, jednak ze skromnej pensji sprzątaczkini nie dadzą rady utrzymać się razem. Wiktorii udało się zdobyć stypendium, ale ono pokrywało jedynie koszty nauki. Za coś musiała jeszcze żyć. Doskonale zdawały sobie z tego sprawę, choć żadna nie poruszała tego drażliwego tematu. Miały tylko siebie i same sobie wystarczą. Nie mają wyjścia.

Antoni Walczak był kompletnie załamany. Jego dziedzictwo, dzieło całego życia było na skraju bankructwa. Jego ukochany Teatr, ten któremu poświęcił całe życie, upadał na jego oczach. A on nie miał pojęcia, jak mu pomóc. Artyści odchodzili z pracy, sprzedaż biletów spadała na łeb, na szyję. Wszyscy bali się tego przeklętego Upiora! Antoni oczywiście nie wierzył w takie bzdury jak duchy, zmory czy inne straszidła. Daleko mu było do przesądnych i naiwnych artystów. Pod tym względem był całkowitym przeciwieństwem klanu Walczaków. Nie potrafił śpiewać, malować, na niczym grać, a o talencie aktorskim mógł zapomnieć. Książki też raczej nie napisze. Ale Teatrem zarządzał jak nikt inny do tej pory. Może dlatego cieszył się szacunkiem wśród krewnych. Jednak wobec obecnego problemu jego racjonalny umysł był całkowicie bezradny. Bezmyślnie obracał w palcach sztywny kartonik. Zirytowany przygniół go potężną dłonią i chwycił za komórkę.

– Przecież to jakiś obłąd. – Oparł zmęczoną głowę na swojej ręce i wybrał odpowiedni numer.

Maciej Mierzejesławski był słynny jedynie z posiadania nazwiska, które nie mieściło się na afiszach. Bo aktor był z niego raczej przeciętny. Nie zagrał nigdy jakiejś specjalnej roli, nie miał solowych numerów. Po prostu był i mógł się z tego bycia utrzymać. Dlatego właśnie nie opuścił Teatru razem z innymi. Nie kalkulowało mu się to kompletnie. Poza tym cichy głosik w jego głowie kazał mu zostać. To mogła być dla niego szansa. Zresztą szczęście już zaczęło się do niego uśmiechać. Miał wprowadzić nową dziewczynę w pracę całej grupy. A pogłoski, że była niczego sobie, tylko poprawiały mu humor. Czekająca na niego w holu przy wejściu. Zapatrzona w powieszona na ścianie fotografie, nie zarejestrowała jego pojawienia się.

– Zgaduję, że to ty jesteś Wiktoria, która zaczyna u nas pracę.

Dziewczyna wzdrygnęła się słysząc jego głos. Spojrzała na niego wciąż lekko nieprzytomna.

– Wiktoria Potocka. To ja. – Posłała mu lekki uśmiech. Odwzajemnił go i wskazał ręką w głąb korytarza.

– Jeśli pozwolisz, to teraz pozwiedzamy interaktywnie. Bo phototour masz już raczej za sobą. – Kompletnie zignorowała jego żart.

– Ładnie tu, choć trochę...

– Sztywno? – zaśmiał się, niezbyt szczerze. Bardzo zależało mu na luzackiej pozie, choć czuł, że się pograża. – Wiesz, to stary budynek, a pan Walczak... Cóż, ma specyficzne poczucie estetyki.

– Rozumiem. – Nie rozumiała. I nie to miała pierwotnie na myśli. Ale chciała być dla niego miła. Niego... Jak mu tam... – Nie przedstawiłeś się. – Powiedziała to z dziecięcym wręcz wyrzutem zabawnie przekrzywiając głowę. Przerwała mu dokładnie w połowie historii o garderobach. Był przekonany, że w ogóle go nie słuchała, a on już szykował kolejny żart. Choć w gruncie rzeczy może dobrze się stało, że nigdy go nie wypowiedział.

– Wybacz, jestem Mierzej... To znaczy Maciej, Maciej Mierzejesławski.

– Ładne nazwisko.

– Dzięki.

Wyglądała tak niewinnie, że nie był pewny, czy rzeczywiście mówi poważnie, czy sobie z niego kpi.

– To chcesz zobaczyć resztę teatru?

– Interesuje mnie ten korytarz. – Wskazała na ciemny zaułek.

– Och. Nie powiem ci o nim zbyt wiele. Pan Walczak nie lubi, kiedy się tam zapuszczamy. Ale słyszałem, że kiedyś wybuchł w tamtych rejonach pożar i trzeba było odbudować tę część.

Wiktoria miała wrażenie, że dojrzała sylwetkę czającą się w cieniu. Mrugnęła i spojrzała jeszcze raz. Nikogo tam nie było. Cały czas jednak coś pchało ją w ciemność. Odwróciła wzrok.

– To straszne. Ktoś wtedy zginął?

– Nie wiem, ale Paluch może wiedzieć.

– Paluch?

– Nasz reżyser. Zaprowadzę cię do niego. Pewnie będzie chciał cię posłuchać.

– Jasne, chodźmy.

Weszli po schodach na pierwsze piętro do Sali Północ. Trwała tam właśnie próba, którą reżyser był zmuszony przerwać.

– Mierzej, dzieciaku, powtarzamy to piąty raz! – I nie był z tego powodu zadowolony.

– Sorry, Paluch. Pokazuję Wiktorii nasz teatr.

– Ach, to nasza nowa zawodniczka. Artur Franciszek. – Paluch był słusznym rozmiarów mężczyzną w średnim wieku. Podał Wiktorii ciężką, permanentnie umazaną tuszem dłoń. Ostre, teatralne światło odbijało się od skóry jego łysej głowy.

– Wiktoria Potocka, miło mi.

– Dobra, ekipo, robimy dziesięć minut przerwy! A ciebie zapraszam na scenę.

Wiktorii zrzęda mina. Wiedziała, na co się pisze, i w gruncie rzeczy miała już te posadę, a jednak zaschło jej w gardle. Przypomniła sobie wszystkie te konkursy, z których uciekła nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Czuła, jakby znowu miała dziesięć lat i wszyscy jedynie czekali na jej potknięcie. Nagle piosenka, którą wybrała, wydała jej się naiwnie przewrotna. Stała na deskach, wciąż w myślach dociekając, po co to sobie zafundowała. Mogła wybrać każde inne ogłoszenie. Zaciśnęła dłonie, zamknęła oczy i zaczęła śpiewać. Najpierw cicho, łamiącym się głosem, głosem przerażonej dziewczynki. Postanowiła się jednak nie dać. Coś jakby w końcu w niej pękło. Nabrała powietrza i z całą mocą głosu, który w niej drzemał, zaczęła wyraźnie i pewnie śpiewać kolejne wersy „Don’t rain on my parade”. Z każdym słowem czuła coraz większą moc. Całkowicie oddała się piosence. Nie przejmowała się już słuchaczami. Po prostu śpiewała.

Jak miało się okazać, nie oczarowała jedynie ludzi, którzy jej słuchali. W tajemniczym, ciemnym zaułku jeden z cieni zaczął się kotłować. Z ciemności wyłoniła się męska sylwetka, w tym momencie jeszcze słaba i niewyraźna, ale to miało się zmienić już niebawem.

Paluch wciąż nie mógł wyjść z podziwu, że Walczakowi udało się tutaj ściągnąć kogoś takiego. Poza pięknym i czystym głosem w tej dziewczynie tkwiło coś jeszcze, coś, czego zupełnie nie potrafił nazwać, ale głęboko go intrygowało. Nie dziwił się, że Mierzej wyglądał, jakby miał dostać zawału. Jemu też skoczyło ciśnienie. Dawno nie słyszał czegoś tak naturalnie pięknego. Zachodził w głowę, gdzie do tej pory ukrywała się ta dziewczyna. Słyszac ją uwierzył, że jego musical ma szansę zaistnieć. Stała przed nim perfekcyjna odtwórczyni głównej roli. Będzie to kosztowało wiele pracy, ale był pewny, że będzie warto.

Kiedy Wiktoria skończyła śpiewać, zebrał wokół siebie cały zespół.

– Po tym, co tu usłyszałem, mogę wreszcie oficjalnie rozdzielić wasze role. Co ważniejsze, w końcu znalazłem idealnych odtwórców głównych ról.

Maciej poczuł, że nadeszła jego chwila. Właśnie ma dostać rolę, która odmieni bieg jego kariery.

– Księżniczkę oraz tajemniczego wędrowca zagrają Wiktoria i...

Mierzej wstrzymał oddech, a serce waliło młotem.

– ...Tomasz. Gratuluję!

Mierzej miał wrażenie, że właśnie przygniotła go wielka skała. Był w takim szoku, że w pierwszej chwili zapomniał nawet o oddychaniu. W jednej sekundzie runął mu cały świat. Pochłonięty własnymi fantazjami zapomniał o największej przeszkodzie jaka może stanąć mu na drodze. Tomasz był niewiele starszy od Macieja, ale w teatrze Walczaka grał zdecydowanie krócej. Jednak w tym czasie udało mu się osiągnąć o wiele więcej. Jak określiła to jedna z jego koleżanek, miał głos anioła i urodę diabła, a więc miks, obok którego nie można było przejść obojętnie. Zamieszanie z rzekomym upiorem było Tomaszowi na rękę. Bardzo szybko poprowadziło go do jego pierwszej głównej roli.

– ...natomiast Mierzej zagra jednego z gwardzistów.

– Co?! – Maciej myślał, że się przesłyszał. Cała uwaga skupiła się teraz na nim, a jego twarz poczerwieniała ze złości.

– Uspokój się, dzieciaku, grasz gwardzistę.

– To ja powinienem zagrać wędrowca!

– Mierzej, posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj, Paluch! Nie jestem już dzieciakiem, od ośmiu lat gram dla ciebie wszystkie te idiotyczne epizody! Należy mi się odrobina wdzięczności!

– To nie jest kwestia wdzięczności, robię to, co jest najlepsze dla sztuki.

– Po prostu się nie nadajesz Mierzejek, pogódź się z tym. – Arogancki ton Tomasza wyzwolił w nim kolejną falę wściekłości. Odwrócił się na pięcie i miał zamiar przestawić mu nos, ale ten z zaskakującym refleksem złapał jego nadlatującą pięść. – Uważaj, bo zrobisz sobie krzywdę.

Tego było za wiele. Maciej wyrwał swoją pięść, odwrócił się i spojrzał Paluchowi prosto w oczy.

– Walcie się wszyscy! – Wybiegł z sali trzaskając wściekle drzwiami.

– Ktoś tu chyba nie umie pogodzić się z prawdą. – Tomasz śmiał się do Wiktorii.

– Kosiński przymknij się z łaski swojej, dość już powiedziałaś. – Paluch wyglądał na tyle poważnie, że Tomasz postanowił go posłuchać, dla własnego dobra. – Idę go poszukać.

Artur zniknął za tymi samymi drzwiami, przez które przed chwilą wybiegł rozdygotany chłopak.

Mierzej wpadł do najbliższej łazienki. Odkręcił zimną wodę i przemył twarz. Miał nadzieję, że uda mu się w ten sposób ostudzić emocje. Popatrzył na swoje odbicie. Wypieki wściekłości zaczęły blednąć, a we własnych oczach dostrzegł coś, co mocno nim wstrząsnęło. Czuł, że chciałby krzyknąć, ale głos uwiązł gdzieś głęboko w nim samym i nie mógł go odnaleźć. Skupił się na oczach, zupełnie wyobcowanych. Nie jego. Nagle miał wrażenie, że widzi nie jedną, a dwie pary oczu. Własne, zdezorientowane, przerażone oraz te drugie wpatrzone w niego, butne, wyzywające,

ale przy tym niemożliwie fascynujące. Wzrok Macieja skrzyżował się z drugim spojrzeniem i tak wpatrywał się w nie, aż poczuł, że w istocie nie stoi w tej łazience sam. Poczł ruch, poczuł obecność, która była i której jednocześnie nie było. Zaczł słyszeć coś niby szept, niby szmer. Jego własny oddech przyspieszył, a ciało chciało uciec w zupełnie naturalnym odruchu, ale te drugie oczy skutecznie przytrzymały go w miejscu. Miał ogromną potrzebę zrobić coś, a nie był w stanie zrobić niczego. Nawet mruganie stanowiło zbyt wielkie wyzwanie i czuł, jak drobna łza spływa mu niespiesznie po policzku. Usłyszał głos. Chciał, by to, co słyszy, stało się prawdą. Głos miał rację, a Maciej pragnął się tej prawdzie oddać. Zatonąć w niej i odnaleźć spokój. Nie zwrócił już na to szczególnej uwagi, ale oczy w lustrze znów stanowiły jedno i nie można ich było od siebie odróżnić. Nie było już takiej potrzeby.

Paluch otworzył drzwi do łazienki powoli i spokojnie. Spodziewał się, że to właśnie tam mógł skierować się wzburzony chłopak. Nie tracił czasu na przetrząsanie przypadkowych pokoi. Zresztą to nie był pierwszy taki wybuch. Może jedynie pierwszy tak silny. Kiedy chwycił klamkę, przeszły mu po plecach dreszcze. Zajrzał niepewnie do środka i zobaczył opierającego się o zlew Mierzeja. Stał dziwnie spięty i nieruchomy, ale po chwili już się wyprostował, a wrażenie dziwności odeszło w niepamięć.

– Wszystko w porządku, dzieciaku?

– Ta, chyba ochłonałem. Sorry, Paluch.

– Miałeś prawo się unieść, wiem, jak to jest, jak myślisz, że ktoś cię puszcza bocznym torem. Szanuję twoją pracę. Po prostu to nie jest twój moment, okej?

– Jasne, nałożyło mi się wiele spraw, wybuchłem, poradzę sobie. Mogę zagrać nawet mleko.

– Zaśmiali się niepewnie, a Paluch poklepał Macieja po plecach. Wydawało się, że atmosfera się oczyściła. Paluch wyszedł przodem i nie zauważył, że twarz chłopaka się zmieniła.

W lekkiej mgłę reflektory zmurszałego samochodu były widoczne bardzo wyraźnie. Walczak śledził je uważnie z okna, odkąd tylko wyskoczyły na uliczkę. Przed teatrem było pusto, dlatego bez większych przeszkód mercedes, niczym smuga na jezdni, stanął płynnie przed samym wejściem. Drzwi samochodu otworzyły się, a ze środka wyłonił się postawny mężczyzna, który sięgnął wyćwiczonym ruchem do niedomykającego się bagażnika i wyciągnął stary, wojskowy worek. Popatrzył chwilę na gmach przed sobą, a potem spojrzł w górę, jakby wiedział o stojącym w oknie Walczaku, który bezwiednie cofnął się w tym momencie. Mężczyzna wszedł do środka z pełnym spokojem i stanął dopiero przed panią Jadzią, szatniarką.

– Jestem umówiony z Antonim Walczakiem.

– Pan dyrektor zapewne jest u siebie w gabinecie.

– Dziękuję. – Mężczyzna chciał kontynuować swoją wędrówkę, ale kobieta jeszcze z nim nie skończyła.

– Idzie pan z tym? – Czujnym wzrokiem zmierzyła jego torbę.

– Potrzebuję do pracy.

– Ale palto pan zostawia u mnie, wtedy może pan iść!

Mężczyzna zrezygnowany zdjął powoli płaszcz i oddał go szatniarce, dostał nawet numerek. Wtedy pani Jadzia skinęła głową i dopiero na ten znak ruszył w stronę schodów.

Rozglądał się uważnie i starał się chłonać to miejsce. Czuł to w kościach, rzeczywiście czekało tu na niego zlecenie i to nie było jakie. Nic tak nie cuchnęło w tym zawodzie jak budynki przesiąknięte pokoleniami przesądów, zabobonów, miłości i nienawiści. Nabrał powietrza w płuca i delectował się nim niczym sommelier na degustacji. Nawet całe żelastwo w torbie zaczęło brzęczeć jakoś pozytywniej, podekscytowane nie mniej niż właściciel.

Drzwi do gabinetu Walczaka nie dały się pomylić z żadnymi innymi. Wyglądały zdecydowanie dostojniej niż pozostałe i jasne było, kto odpowiadał za ostatni remont. Mężczyzna stanął przed drzwiami i zapukał. Walczak wstrzymał się kilka sekund i dopiero wtedy pozwolił gościowi wejść do środka. Mężczyzna położył swój worek obok biurka i podał rękę gospodarzowi.

– Olgierd Sztanger.

– Dyrektor Walczak. Cieszę się, że dał Pan radę do nas przyjechać. Proszę usiąść – Sztanger zdążył jednak zająć miejsce, zanim Walczak to zaproponował, dlatego rozglądał się teraz uważnie i czekał aż wreszcie przejdą do rzeczy.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Czego ja oczekuje? – Antoni był trochę zbity z pantofelku. Dokładnie zaplanował tę rozmowę, a nie lubił z takich planów rezygnować. – Ja oczekuję, że pan zakończy to zbiorowe szaleństwo i w końcu zaczniemy normalnie funkcjonować.

– Pan nie wierzy w to, co się tu dzieje?

– Oczywiście, że nie. To jakieś chore rojenia przewrażliwionych umysłów. Wierzę natomiast w ekonomię i jeśli pan tego nie zatrzyma, to zbankrutujemy.

– Może pan sobie wierzyć, w co pan chce, ale ściągnął pan tutaj konkretnego specjalistę i jako taki mówię panu: ktoś z drugiej strony franki nieźle się wkurzył.

– Czyli twierdzi pan, że to wszyscy mają rację, a ja, prosty realista, znowu czegoś nie dostrzegam, tak?

– Ja tylko mówię, jak jest. Mogę coś z tym zrobić albo stąd odjechać. Pański wybór.

Walczak oklapł w fotelu niczym nieszczęśliwy balonik. Nie podobał mu się ten gburowaty mężczyzna, który nie zważając zupełnie na widoczny na ścianie zakaz palenia, właśnie odpalał

zwiniętego niechlujnie papierosa. Nie podobała mu się także perspektywa biegającego po teatrze łowcy duchów, ale jeszcze bardziej bał się własnej porażki i tego, że będzie musiał się do niej przyznać rodzinie. Antoni spojrział na wysokie okna swojego gabinetu i pomyślał przez moment, że może po prostu mógłby przez nie wyskoczyć i nigdy tu nie wrócić. Myśl ta była tak dziwacznie nie na miejscu, że aż się wzdrygnął i znów skupił całą uwagę na swym rozmówcy.

– Niech pan działa. Jeśli może pan pomóc, to proszę zrobić, co w pańskiej mocy.

Olgierd nie odpowiedział od razu. Badał twarz dyrektora, która w kilka minut postarzała się zauważalnie. Szukał w tej twarzy oblicza upiora, którego jednak nie spodziewał się dostrzec. To byłoby zdecydowanie zbyt proste. To nie w takich ludziach chowały się gniewne dusze. Przed nim siedział całkiem zwyczajny, przerażony desperat. Zgasił swojego papierosa, zupełnie ignorując brak popielniczki i wstał gotowy do wyjścia.

– Pomogę panu. Honorarium ustalimy później. Będę potrzebował jakiegoś pokoju.

– Oczywiście, może pan tu nawet nocować, jeśli pan chce. Pokażę panu.

Rzeczywiście Walczak zaprowadził Sztangera do pomieszczenia, które przypominało malutki pokój hotelowy. Stało tam proste łóżko, wąska szafa oraz tani stolik i krzesło. Zupełnie surowy i nijaki.

– Gdyby mnie Pan potrzebował, to zazwyczaj jestem w swoim gabinecie. – Walczak zamknął za sobą delikatnie drzwi i rzeczywiście poszedł schować się we wspomnianym pokoju. Sztanger rzucił torbę na łóżko, zdjął buty i rozpiął kilka pierwszych guzików koszuli. Spoglądał przez okno na rozplynięte we mgle miasto. Czuł, że wreszcie wrócił na szlak i było mu z tym nad wyraz dobrze.

Ostatni tydzień w teatrze minął niespodziewanie gładko. Paluch ćwiczył z obsadą kolejne sceny bez wytchnienia. Cały budynek aż dudnił od nieustającego tańca i śpiewu. Wszystkim zależało, aby publiczność mogła jak najszybciej zobaczyć najnowszy spektakl. Wszyscy wierzyli, że wtedy los może się odwrócić. W połowie czternastego powtórzenia ósmego numeru drzwi sali otworzyły się z impetem i wszedł przez nie dyrektor Walczak, co samo w sobie było niezwykle, bo nie miał on zwyczaju zbliżać się do aktorów przy pracy. Za nim wszedł mężczyzna z bliżej nieokreśloną miną i w równie niejasnym charakterze.

– Drodzy państwo, wybaczenie, że przerywam waszą próbę, ale chciałem przedstawić. To jest pan Olgierd Sztanger. – Cichy towarzysz dyrektora skinął głową na dźwięk swojego nazwiska. – Pan Sztanger zajmuje się krytyką teatralną i zgodził się napisać o naszym teatrze. Dlatego będzie nam towarzyszył w najbliższym czasie i przyglądał się próbom. Mam nadzieję, że pokażecie się z najlepszej strony. Teraz możecie państwo wracać do pracy. – Nie czekając

na jakąkolwiek reakcję, Walczak odwrócił się i wyszedł z sali. Sztanger natomiast cofnął się do trzeciego rzędu foteli i skryty w półmroku zajął miejsce na widowni. Grupa na scenie jeszcze chwilę trwała w bezruchu przetwarzając to, co usłyszała, po czym kontynuowała przerwany numer. Ich poczynania były pilnie obserwowane przez świecące w ciemności oczy. Sztanger starał się zapamiętać i skupić się na każdej twarzy. Tropił. Paluch zerkał ukradkiem w stronę tego spojrzenia i zastanawiał się, co tak na prawdę się dzieje, bo tajemniczy człowiek według niego mógł być każdym, ale na pewno nie krytykiem teatralnym.

Wytrzymanie tak intensywnego tempa prób było dla nienawykłej do tego rodzaju pracy Wiktorii szczególnie trudne. Wszystkie układy mieszały jej się w głowie, nogi odmawiały pełni posłuszeństwa, a w głosie dało się słyszeć coraz wyraźniejszą chrypę. W całym tym zmęczeniu zupełnie nie pomagała jej napięta atmosfera i wciąż żywy, choć zawoalowany konflikt Tomasza z Maćkiem. Sama nie była pewna, jakie jest jej w nim miejsce. Choć rozumiała żal Mierzeja i w niektórych kwestiach się z nim zgadzała, to od czasu jego wybuchu dostrzegała w nim coś, co skutecznie studziło jej pozytywne uczucia. W jego obecności czuła coś, czego nie mogła w pełni pojąć. Odpychało ją, ale jednocześnie do niego przyciągało na poziomie jakiejś niezrozumiałej i zupełnie nieumotywowanej fascynacji. Tomasz natomiast z pewnością był utalentowanym aktorem i zasłużył na rolę, którą otrzymał. Niestety sam także zdawał sobie z tego doskonale sprawę i dbał, żeby inni też na pewno o tym wiedzieli, a to było ciężkie do zniesienia. Powtarzali kluczową scenę już kolejny raz i powoli robiło jej się niedobrze, sama nie wiedziała, czy ze zmęczenia, czy z obrzydzenia.

– Powtórzmy to jeszcze raz, teraz naprawdę się przyłóżcie. – Głos Palucha brzmiał złowrogo, ale sam wyglądał, jakby miał się rozplakać. Tomasz złapał Wiktorię za rękę, stanęli patrząc sobie w oczy, choć wzrok obojga był zupełnie nieprzytomny, nabrali powietrza i zaczęli śpiewać. Uśmiech, obrót, zamykasz oczy, puszczasz rękę, odwracasz się, znowu patrzysz, ręka, stopa i refren na cały głos. Jej głos dało się słyszeć wyraźnie, z mocą i jakąś niewytłumaczalną siłą. Maciej wziął wdech, jakby dało się tę magię głosu chłonać z powietrza. Tomasz był praktycznie niesłyszalny, a on sam czuł, jak jego głos zamiera. Jakby w jego gardle coś kurczyło się w zastraszającym tempie i czuł tylko suchość i ból, który malował się jedynie w twardej linii brwi. Paluch przerwał wszystko w tym momencie.

– Wszystko w porządku?

– Chyba za bardzo zdarłem gardło, nie wiem. – Rzeczywiście brzmiał teraz raczej, jakby dręczyło go przeziębienie, albo jakby dopadły go skutki szalonego karaoke.

– Dobra, tu na razie skończymy. Mierzej, odpocznijcie i poćwicz z Wiktoria te numery. A ty Kosiński zrób coś z tym gardłem. Reszcie dziękuję.

Z mroku cały czas czujnie całą sytuację obserwował Sztanger. Był prawie pewien, że aktora nie dopadło zwykle przeciążenie. Wciąż nie ruszał się ze swojego miejsca i pilnie obserwował to, co działo się na scenie. Nie było sensu interweniować zbyt pochopnie. Wiktoria przysiadła na brzegu sceny z butelką wody i zamknęła oczy próbując się wyciszyć. Pałący wzrok Macieja wbijający się w jej kark skutecznie to uniemożliwił.

– Przećwiczmy ten numer i miejmy już spokój. – Chłopak uśmiechał się do niej, ale dostrzegła w nim coś nieszczerzego.

– Marzę żeby już iść do domu. – Z wielkim oporem stanęła na nogi i niemrawym krokiem podeszła do stojącego z boku pianina. Mierzej już otwierał klawiaturę. – Nie wiedziałam, że grasz.

– Raczej grywam, ale do ćwiczeń wystarczy. – Jego palce zaczęły sunąć po klawiszach z zaskakującą zręcznością i wyglądało to raczej jak rozgrzewka do koncertu chopinowskiego, a nie podegranie prostej linii melodycznej. Wiktoria nie miała już siły analizować, jej umysł odlatywał i nie zatrzymywała go dłużej. Równie dobrze mogłaby teraz spać, powieki mocno jej ciążyły.

– Zaśpiewaj jeszcze raz i już będziesz mogła iść. Daj się prowadzić muzyce. – Głos Macieja brzmiał teraz kojąco, otulał ją, a ona bardzo potrzebowała się na kimś oprzeć. Dała się bezwiednie prowadzić i zaskakując samą siebie zaśpiewała mocnym i czystym głosem. Czowała, jak coś w niej rośnie, buduje się jakaś niepojęta euforia odklejona od rzeczywistości. Towarzyszył jej drugi głos, którego wcześniej nie słyszała, a czowała, jakby znała go całe życie. Nie wiedziała już nawet, co śpiewa. Opuszczały ją kolejne dźwięki, a z nimi jakby coś jeszcze. Kręciło jej się w głowie i prawie nic nie widziała. Próbowała skupić się na twarzy chłopaka, ale ciągle jej umykała, jakby zmieniała się nieustannie i oczy były inne, tego była chyba pewna, że coś jest nie tak, że nigdy tak nie śpiewała, ale on ją trzymał i dalej, dźwięk za dźwiękiem, te uczucia, pchały ją, zaraz upadnie, za ciężko, brak tchu, tylko jeszcze chwilę, te oczy, oczy, oczy, patrz, śpisz. Światło w jej umyśle na chwilę zgasło, ale zaraz wróciła do siebie. Przynajmniej tak jej się wydawało. Mierzej podtrzymał ją, a zaraz obok stał ten tajemniczy krytyk.

– Zemdlałaś, ale już wszystko w porządku. Powinnaś odpocząć. – Wiktoria mrugnęła kilka razy, jakby wzrok wrócił do niej dopiero w tej chwili. Może ze zmęczenia miała jakieś dziwaczne halucynacje?

– Na pewno wszystko w porządku? – Po raz pierwszy usłyszała głos Sztangera. Mimo dobrych intencji brzmiał oschle, a przez to niezupełnie szczerze. Jakby zapomniał, jak to jest być miłym i serdecznym, a może nigdy tego nie wiedział.

– Chyba tak. Jestem zmęczona, powinnam iść do domu.

– Odprowadzę panią. – Mężczyzna brzmiał bardzo stanowczo, to nie była propozycja. Nawet nie patrzył na nią, tylko na Mierzeja. Wiktoria nie chcąc dłużej dyskutować ruszyła do wyjścia. Sztanger szedł zaraz za nią. Tylko Maciej się nie ruszył i wychodząc zauważyła kątem oka jego krzywy uśmieszek, zupełnie nieprzystający do jego twarzy. Jakby uśmiechał się ktoś inny. Mogło jej się także coś przywidzieć, wciąż do końca nie ufała swoim zmysłom. Bez słowa dotarli do drzwi wejściowych. Zza lady przyglądała im się podejrzliwie pani Jadzia, ale nie śmiała opuścić swojego posterunku, mimo że w szatni wisiał jedynie płaszcz Sztangera i stary kapelusz, który ktoś zgubił lata temu.

– Dziękuję panu, ale do domu trafię sama. – Mężczyzna zapewne chciał jej odpowiedzieć, ale ona już chwyciła drzwi, które jednak nie zamierzały ustąpić. Pchała, ciągnęła, ani drgnęły. – Pani Jadziu, zamykała już pani?

– Nie złotko, włóż trochę siły, czasem się zacinają. – Wiktoria znów szarpnęła, bezskutecznie.

– Pani pozwoli. – Sztanger sam spróbował, ale drzwi pozostały niewzruszone. – Cholera, zamknął nas!

– Zaraz, kto nas zamknął, o czym pan mówi? – Mężczyzna nie odpowiedział, szybko podszedł do szatniarki.

– Gdzie tu jest tylne wyjście?

– Musicie iść korytarzem za schodami. – Nie mówiąc nic więcej chwycił Wiktorię za rękę i ruszyli biegiem wskazanym korytarzem. Tylko głos Pani Jadzi podążał jeszcze za nimi. – Zaraz, proszę pana, a palto?!

– Co pan robi, o co chodzi? – Wiktoria nie miała siły stawiać oporu, ale mogła jeszcze kwestionować to, co się dzieje. A przynajmniej próbować.

– Muszę cię stąd jak najszybciej wydostać.

Biegli aż prawie uderzyli w drzwi ewakuacyjne. Sztanger naparł ciałem na dźwignię, ale to nic nie dało. Nawet nie drgnęły.

– Sukinsyn nas tu uwięził!

– Jak to uwięził, o co tu do cholery chodzi! – Olgierd spojrzał rozdygotanej dziewczynie prosto w oczy.

– Posłuchaj, nie jestem żadnym krytykiem. Walczak sprowadził mnie tutaj, bo zajmuję się różnymi niestandardowymi sprawami. A problem tego teatru to właśnie taka sprawa.

– Zaraz, co pan ma na myśli?

– Na myśli mam to, że grasuje tu upiór, którym mam się zająć.

– Co pan bredzi, coś takiego nie istnieje!

– Może nie, ale wobec tego, co się stało, kiedy zaczęłaś śpiewać? Dlaczego nie możemy stąd wyjść? Posłuchaj, nie mam czasu cię przekonywać, ale muszę cię chronić, bo jesteś tutaj kluczowa.

– Nic nie rozumiem...

– Twój kolega, Maciej, nie jest już do końca sobą, a może raczej jest coraz mniej sobą. Upiór pasożytuje na jego ciele, by z czasem przejąć je w pełni. To się rzadko zdarza i oznacza, że skurczybyk jest niebywale potężny. A ty jesteś jego paliwem nuklearnym.

– Jak to?

– Twój śpiew go „zasila”, czerpie z niego. Masz niezwykły talent i on zamierza go wykorzystać. Jest pewny swego, zrobił to wszystko na moich oczach. Doskonale wiedział, kim jestem, wiedział, że go obserwuje, a mimo to się wystawił. To nie wróży najlepiej.

– Czy moje „paliwo”, czy ja...?

– Wyczerpie się. Ty umrzesz, a on będzie praktycznie nie do wypędzenia. Dlatego nie możemy do tego dopuścić. – Znikąd echem poniósł się nieprzyjemny śmiech.

– „Nie możemy do tego dopuścić”. Urocze, ale bez znaczenia. – Olgierd popchnął Wiktorię w stronę schodów.

– Biegnij!

– Możecie uciekać. Mam całą wieczność, jeśli chcecie, możemy się chwilę pozabawiać. – Mieli wrażenie, że ten okropny śmiech wwierca im się w czaszki. Wbiegli na górę i Olgierd poprowadził ich w najbezpieczniejsze miejsce, o jakim mógł pomyśleć. Do swojego pokoju. Wyciągnął kilka flakonów i woreczków, coś rozsypał, coś rozlał, coś mruczał pod nosem.

– To ma nam pomóc? – Wiktorcia już nie mogła nadążyć za swoimi myślami. Nie wiedziała, czy płakać, czy raczej wrzeszczeć. Miała wrażenie, że to okropny sen.

– Nie, ale kupi nam trochę czasu.

– Ja mogę przecież przestać śpiewać, od lat tego nie robiłam, mogę...

– To tak nie działa. Jeśli on zechce, żebyś zaśpiewała, to to zrobisz.

– Kim on jest, co to ma wspólnego ze mną?

– To musi nam wyjaśnić Walczak, ale na pewno to ktoś, kto tutaj umarł, i nie była to spokojna śmierć. Widzisz, niektóre dusze po prostu nie mogą odejść w pokoju, przejść dalej. A to wbrew porządkowi, dusza raz oderwana od ciała zmienia się. Tkwi w swoim cierpieniu, bo nie może się od niego uwolnić, do tego potrzebuje przejścia, by się przeobrazić. Człowiek to ciało i dusza, jeśli ciało umiera, dusza musi iść dalej, inaczej znacznie traci na swym człowieczeństwie. – Sztanger tłumaczył jej wszystko po kolei, ale jednocześnie cały czas obserwował drzwi, które przez chwilę uginały się pod naporem siły. Zaraz jednak wszystko

ustąpiło. Upiór odpuścił, przynajmniej na razie. I tak był wygrany, nie mieli szans opuścić teatru. Wiktorii robiło się niedobrze. Olgierd ostrożnie wychylił się za drzwi. Korytarz był pusty. Dał znak dziewczynie, by szła za nim i ostrożnie opuścili pokój. Na szczęście gabinet Walczaka nie był daleko. Udało im się pokonać całą drogę bez zwrócenia na siebie uwagi, a może po prostu zostali zignorowani. Ulżyło im, kiedy zamknęli za sobą drzwi biura. Dyrektor podskoczył w fotelu.

– Co mają znaczyć te podchody?!

– Proszę nie krzyczeć, zdiagnozowałem pański problem.

– Nie rozumiem.

– Znalazłem upiora. A teraz potrzebuję pańskich odpowiedzi. Ktoś tutaj umarł. Gwałtownie. Muszę wiedzieć, kto i w jaki sposób.

– Cóż, wiele lat temu zdarzył się tutaj wypadek... – Głos Walczaka coraz słabiej docierał do Wiktorii. Nie mogła się skupić i najchętniej pozwoliłaby sobie zupełnie odpłynąć. Wbrew tym pragnieniom nie mogła oprzeć się nagłej potrzebie, by wstać i wyjść. I jakby kierując się swoim własnym rozumem, nogi poprowadziły ją do drzwi, ręka delikatnie nacisnęła klamkę, a reszta ciała bezszelestnie przeszła na drugą stronę. Mężczyźni pochłonięci rozmową niczego nie zauważyli. Dziewczyna szła spokojnie przed siebie, jakby doskonale wiedziała, dokąd zmierza, a przecież nie wiedziała nic. Poczucie czasu i przestrzeni zupełnie ją opuściło. Może zrobiła dwa kroki, a może dwadzieścia. Zorientowała się, że stoi przed korytarzem, który przykuł jej uwagę już w czasie jej pierwszej wizyty. Zrobiła krok i weszła w ciemność, jej sylwetka rozplynęła się w niej. Wydawał się ciągnąć w nieskończoność, ale ona zatrzymała się przed bardzo konkretnymi drzwiami, przekręciła gałkę i weszła. W pokoju panował bałagan, na podłodze leżały kolorowe ubrania, buty bez pary, część rzeczy niechlujnie porzucono na wieszakach. W centrum zamieszania stała toaletka z dużym, podświetlanym lustrem. Wiktoria usiadła na miękko obitym stołku i przyglądała się swojemu odbiciu. Chwyciła ozdobną szczotkę i delikatnie rozczesywała włosy. Korzystając z leżących w pudełeczku wsuwek i spinek spięła je z tyłu głowy. Teraz wzięła stojący przy samej tafli lustra flakonik i ścisnęła pompkę. Ciężki i lepki zapach odurzył nawet jej otępiałe zmysły. Wreszcie sięgnęła po otwartą szminkę, która wyglądała, jakby ktoś dopiero co jej użył. Intensywna czerwień wyraźnie obrysowała jej usta. Wtedy wstała i podeszła do dużego lustra skrytego między wieszakami. Zrzuciła trampki, które miała na nogach, zsunęła jeansy, a razem z nimi skarpety. Na koniec zdjęła koszulkę, uważając, by nie zniszczyć fryzury. Stała i przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu. Zaraz jednak przystawiła sobie stojące przy ścianie krzesło, wyjęła z szuflady parę pończoch oraz pas, który założyła w pierwszej kolejności, oparła nogę na siedzisku i wciąż kątem oka obserwując swoje odbicie, metodycznie zakładała pończochy. Następnie zdjęła z wieszaka szyfonową bluzkę i powoli zapinała guzik za guzikiem. Potem wciągnęła prostą

spódnicę wsadzając bluzkę w spód. Na końcu wsunęła nogi w przygotowane pantofle i po prostu stała przed lustrem. Nie wiedziała, na co czeka, nie wiedziała ile czasu minęło, miała za to niezachwiane wewnętrzne przekonanie, że właśnie tak powinna zrobić. Nie zamierzała się sprzeciwiać. Wreszcie dostrzegła w lustrze oczy. Zbliżały się. Część jej pragnęła się odwrócić, ale wiedziała, że jej nie wolno, więc się powstrzymała. Ma czekać. Wreszcie zbliżył się na tyle, że widziała odbicie całej sylwetki. On zdjął z głowy kapelusz, odłożył go na asystujące jej wcześniej krzesło, a potem zdjął marynarkę i przewiesił ją przez oparcie, przy okazji wyjmując z wewnętrznej kieszeni sznur pereł. Poruszał chwilę ramionami, jakby nie było mu w pełni wygodnie we własnej skórze. Na moment znów nie potrafiła rozróżnić rysów twarzy i poczuła rosnącą w gardle panikę. Nie trwało to jednak długo. Na powrót zawiesiła wzrok na jego odbitym spojrzeniu i ogarnął ją spokój. Gdyby myślała w tej chwili racjonalnie, mogłoby jej się wydawać dziwnym, że prawie nie czuje na szyi jego oddechu, choć stał tuż za nią. Czują za to zimno dłoni, które ją otoczyły i nad wyraz sprawnie poradziły sobie z zapięciem pereł. Te same dłonie zsuwały się teraz niespiesznie wzdłuż jej ciała. Po plecach przeszedł jej dreszcz, a na twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Coraz bardziej czuła jego ciężar i bliskość. Wisiał nad nią jak chmura gradowa, a ona czekała na burzę. Od napięcia zaczęło kręcić jej się w głowie. Niewyraźny oddech był teraz tuż przy jej uchu. Nie była w stanie stwierdzić, czy rzeczywiście usłyszała szept, czy głos wybrzmiał bezpośrednio w jej głowie. Wzięła głęboki wdech. To nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, co miała zrobić. Polecenie było jasne.

– Śpiewaj, mój aniele.

Olgierd obudził się w przydzielonym mu łóżku, ale zupełnie nie miał pojęcia, jak się tam znalazł. Głowę miał ciężką i dzwoniło mu w uszach. Pchany nagłymi torsjami wyskoczył do równie małej co sam pokój łazienki. Mógłby pomyśleć, że poprzedniego wieczora zdecydowanie przesadził z alkoholem, ale to było niemożliwe. Być może Sztanger nie miał zbyt wielu zasad, jakimi kierował się w życiu, ale miał jedną, której trzymał się od dawna. Nie pił nigdy, niczego. Palił, owszem, zapewne, jeśli nie zabije go ta robota, to robi to równie złośliwy rak płuc. Ale alkohol nie wchodził w grę, wiedział dobrze, jaką cenę mógłby zapłacić za taki wyskok. Dlatego właśnie nie rozumiał, co działo się z jego ciałem. Był praktycznie jak w gorączce. Wsadził głowę pod kran z zimną wodą, ale przyniosło mu to tylko chwilowe ukojenie. Wreszcie wyszedł z łazienki, by przyjrzeć się zastawionym wcześniej przez siebie barierom, które i tak nie miały większego sensu, skoro upiór miał cały teatr we władaniu. Wszystko w powietrzu aż wibrowało i zapewne stanowiło przyczynę jego nieznośnego bólu głowy. Olgierd pierwszy raz od dawna nie miał pojęcia, co robić, jak zająć

się upiorem. Porażka nie wchodziła w grę, nie pozwoli się pokonać kolejnemu echu przeszłości. Nie zawiedzie tych ludzi, nie znowu, nie...

Nie mogąc dłużej wytrzymać, zabrał swoją papierośnicę, narzucił koszulę i ruszył do głównego wejścia, wiedziony przekonaniem, że drzwi tym razem ustąpią, bo nikt i tak nie mógł już uciec, coś się niezaprzeczalnie zmieniło. A może Olgierd tylko sobie wymyślił całą tę teorię i chciał jedynie wyjść, zapalić i dać otulić się mglistemu porankowi, jakby właśnie to lepkie powietrze miało mu dodać otuchy. Szedł w ciszy, nie spotkał też nikogo, nawet Pani Jadzi nie było na posterunku. Drzwi rzeczywiście otworzyły się bez najmniejszego problemu. Olgierd pospiesznie zapalił, żałował, że nie ubrał nic więcej, zimno przeszywało go na wskroś, ale starał się je ignorować. Ulica była opustoszała, nie minął go żaden przechodzień ani żaden samochód. Mogłoby się wydawać, że teatr stał pośrodku niczego, a znajdował się przecież prawie w centrum miasta. Olgierd nie oddał się jednak dalszym rozważaniom, bo nagle zdał sobie sprawę, że nie jest już sam. Odwrócił głowę i zobaczył opierającego się o drzwi Macieja, który coraz mniej przypominał sam siebie, a jednocześnie nigdy nie był do siebie bardziej podobny.

– To zupełnie piękny, nic nieznaczący poranek, zgodzi się pan?

Olgierd nie odpowiedział, rzucił jedynie na ziemię niedopałek, by wgnieść go w chodnik. Kiedy podniósł wzrok, Macieja już nie było. Olgierd rozważał wypalenie kolejnej fajki. Zrezygnował z tego pomysłu, gdy zza pleców usłyszał pogodne „Dzień dobry!”. Wiktoria uśmiechała się do niego przyjaźnie, ale wzrok miała zupełnie nieobecny, jakby jej świadomość znajdowała się gdzieś bardzo daleko. Tak zapewne było. Weszli razem do środka, rozmawiali o pracy krytyka teatralnego, jakby wczorajsze wydarzenia nie miały miejsca. Sztanger złapał się nawet na tym, że przez moment myślał o tym, co napisze w swojej recenzji. Przecież w życiu nie napisał żadnej recenzji, a w teatrze był tylko raz. Jak on ma niby pomóc tej dziewczynie, tym wszystkim ludziom, skoro nie umie pomóc nawet samemu sobie? Wiktoria pożegnała się z nim przy schodach i poszła na próbę. Olgierd patrzył za nią i zamyślony wdychał swąd spalenizny, który wypełniał budynek, choć nie było żadnego ognia.



The Phantom of the Opera
[*Upiór w operze*],
reż. Rupert Julian, Edward
Sedgwick, Lon Chaney,
zdj. Charles Van Enger, Virgil
Miller Milton Bridenbecker
(1925)




TRANSLACJA



Upiorna ręka

Tłumaczenie: Michał Bolek

okładnie wtedy, kiedy zegar wybił pierwszą w nocy, ktoś przyszedł i zadzwonił do doktora. Za pierwszym razem nie przyniosło to żadnego skutku, ale kiedy za drugim i trzecim okazało się, że sprawa jest nieubłagalnie poważna. Karin, która posługiwała u doktora, wyszła przez drzwi kuchenne, żeby się wywiedzieć, o co chodzi. I po tym, jak przez chwilę na próżno się targowała, musiała przystać na obudzenie doktora. Poszła i zastukała do drzwi sypialnego.

– To posłaniec od doktora narzeczonej. Trzeba tam doktorowi.

– Jest chora? – dało się słyszeć ze środka.

– Nie wiedzą, co się jej przytrafiło. Myślą, że coś zobaczyła.

– Dobrze, przekaż pozdrowienia i powiedz, że przyjdę.

Doktor nie pytał o nic więcej. Nie lubił słuchać plotek służby na temat narzeczonej.

Szczególne rzeczy z tymi zabobonami, myślał, ubierając się. Dom stoi tam przecież w środku miasta, krztyny w tym nie ma czegoś romantycznego. Całkiem sobie zwyczajny i brzydki stary dom, urządzone jak wszystkie inne w tym kwartale. Ale widziadła trzymają się tam mocno.

Niechby chociaż stał w jakimś ciemnym zaułku albo tuż za miastem w zapuszczonym ogrodzie, gdzie okropne, stare drzewa smagają szyby w oknach w taką burzową zimową noc! Ale jak tak stoi tam, gdzie stoi, przy szerokiej ulicy biegnącej w stronę portu i morza! I z kościołem, i kasą oszczędnościową, i koszarami, i cukrownią zaraz obok! Pomyślałby kto, że cukrownia z całym swoim zgrzytaniem i bulgotaniem, i z wielkimi, rozżarzonymi kotłami uprzykrzy się duchowi. Ale nie – wręcz przeciwnie.

Na swój sposób mógł zaskarbić sobie podziw. Była w nim energia, niesamowita energia, i zdolność, by mocno trwać w ludzkiej świadomości. Przyznawało się wprawdzie, że nie ukazał się już przez dwadzieścia lat, odkąd panny Burman wprowadziły się do nawiedzanych pokoi. Ale czy ktoś o nim zapomniał? Teraz przecież widać – wystarczyło, że Ellen zupełnie nagle zachorowała, a natychmiast się mówi, że coś widziała.

Przestraszyła się czegoś, tak, nie było to wcale niemożliwe. Była jakby przeznaczona do widzenia duchów, skoro całe swe życie przeżyła z dwiema znerwicowanymi, starymi ciotkami.

I że w domu jest duch, zawsze wiedziała i zawsze wierzyła. Pewnie sobie żyła i podsycala nim wyobraźnię od samego dzieciństwa.

Z pewnością o nim nie zapomniła tylko dlatego, że dorosła. Kiedy po raz pierwszy doktor był z wizytą lekarską u ciotek, powiedziała do niego jakby triumfująco:

– W tym pokoju straszy.

Dokładnie takim tonem, jakby pokazywała rodowe kosztowności.

– Uważa doktor, w tym pokoju nie godzi się grać w karty.

– Ach tak, a to dlaczego?

– Bo jeśli kto z graczy zrobi najmniejszy błąd, najniewinniejszy fortel, pojawia się ręka i kładzie się obok niego na stole do gry.

– Cóż to za ręka?

– Stara, pożółkła ręka w ciężkich pierścieniach z diamentami na powykrzywianych palcach i z prawdziwymi koronkami wokół nadgarstka.

– No proszę, i co wtedy?

– Nie widać nic więcej, tylko rękę.

– Ale jak to się dzieje od początku?

– Tego nie wie nikt, zawsze pokazywała się tutaj.

Opowiadała to bardzo pogodnie, ale kto wie, kto wie? Może i wierzyła w duchy.

– Uważa doktor, przychodzi o tak, podkrada się po krawędzi stołu tuż obok grającego. I pfe, naraz pokazuje którąś kartę wielkim, zakrzywionym paluchem! Paznokcie ma jak szpony, wygięte i spiczaste.

No nie, wierzyć w to ona chyba jednak nie mogła. Na swój pokój wybrała przecież właśnie ten, w którym straszy.

Doktor pędził wzdłuż wielkiego budynku cukrowni, gdzie praca wre całą noc. Innym razem można by się ucieszyć z wielkiej, zadymionej fabryki! Dobrze było myśleć, że nie dorastała na wsi, na jakimś przepelnionym marzeniami odludziu, wtedy może zabobony naprawdę by się w niej zakorzeniły i miały swoje fundamenty. Ale że zawsze żyła tutaj, pośród realnej, zgiełkliwej rzeczywistości...

Skręcił za róg cukrowni, gdzie wiatr syczał w jego stronę, on też równie realny i rzeczywisty jak zwykle, a potem wszedł po wysokich kamiennych schodach i do wnętrza domu.

Zlituj się, Boże, przestraszył się, nawet on. W sieni stała wysoka postać, cała spowita czarnym szalem. Sama ciotka Malin zeszła na dół, by mu poświecić na schodach.

– Jak się czuje Ellen? – zapytał doktor.

– Jak miło ze strony doktora, że przyszedł tak szybko – powiedziała ciotka Malin. – Nie wiem, co się z nią dzieje. Musi doktor wejść i sam zobaczyć.

Prawie wbiegła po schodach, chociaż była tak stara. I pomyśleć, że ciotka Malin stała na dole w zimnej sieni, czekając na niego. Była naturalnie pogrążona w wielkim niepokoju, więc na pewno wyobrażała sobie, że przyjdzie szybciej, gdy ona wyjdzie mu na spotkanie. Doktora dopiero teraz opanowało żywe poczucie, że naprawdę zachodzi niebezpieczeństwo.

Byłoby irytujące, gdyby teraz stanęło na drodze coś z tym młodym dziewczęciem na górze, które wybrał sobie na żonę. Przez całe swe życie nie spotkał nikogo, kto pasowałby do niego lepiej. Dość ładna i bez żadnych krewnych poza dwiema starymi ciotkami, i oczywiście surowo wychowana, przywiązana do domu, obeznana z gospodarstwem, spokojna.

Gdy weszli na korytarz, ciotka Malin znowu się do niego odwróciła.

– Obudziliśmy się w środku nocy od jej krzyku strasznego i uspokoić jej potem było nie sposób. Nie mieliśmy innej rady, jak posłać po doktora.

Otworzyła drzwi do pokoju Ellen, wetknęła głowę i powiedziała, że przyszedł. Zaraz potem został wprowadzony.

W środku było tak jasno, że w pierwszej chwili ledwo mógł coś dojrzeć. Musieli wnieść wszystkie lampy i światła, jakie były w mieszkaniu. Nie wyglądało to zresztą źle wraz z wysokimi, umocowanymi do ściany lustrami pomiędzy oknami a białymi, starodawnymi meblami, które skompletowała Ellen. W tym oświetleniu stawało się jasne, że onegdaj, w dniach świetności domu, była to sama bawialnia.

A zatem to tu siedzieli dawnymi czasy przy stołach do gry – wielki to był przepych, mieszkało tu bowiem znakomite towarzystwo – i właśnie wtedy, gdy radość była największa, gdy młodzi zalotnicy stali za krzesłami dam i pletli od rzeczy, a służący chodzili dookoła i na srebrnych tacach podawali mleko migdałowe, właśnie wtedy pokazywała się upiorna ręka. To dopiero musiało być przedstawienie i zamieszanie! Damy musiały krzyczeć, starzy, dostojni dziwacy musieli zrywać się od stołów i nie mogli wykrztusić słowa. Srebrne tace wyslizgiwały się z rąk służących i spadały na podłogę. Strach przed czymś nadprzyrodzonym malował się na wszystkich twarzach. Wydawały się widmowe, na wpół oszalałe. Wystarczyło spojrzeć na jego narzeczoną, żeby się dowiedzieć, jak wyglądali.

Siedziała pośrodku pokoju na dużym, ozdobnym krześle, trzymała się zupełnie prosto, rozglądała się osobliwie rozbieganym spojrzeniem, była blada, jakby przybrała kolor trupa, szczykała zębami i dygotała.

Krzesło było wysunięte na środek podłogi. To był ten rodzaj z odsłoniętymi nogami. Żaden mebel nie stał w pobliżu, nic nie mogło być pod nim schowane i nagle wypełznąć.

Nie zwróciła większej uwagi na wchodzących. Wzrok miała teraz wbity, głęboko wbity w cień szafki, który rozciągał się w kierunku kąta z piecem kaflowym. Pewnie podejrzewała cień, że chce zrobić jej jakiegoś brzydkiego figła. Podciągnęła spódnicę jakby w gotowości do ucieczki, gdyby cień zgęstniał i przybrał jakąś postać, może wielkiej dłoni z palcami jak szpony. Naraz doktor pospiesznie przesunął lampę, tak że jej światło padło w kąt. Ellen z powrotem opadła na krzesło.

Wtedy weszła ciotka Berta i złożyła taki sam raport, jak ciotka Malin.

– Obudził nas jej krzyk, jakby oszalała, i od tamtej chwili jest w takim stanie. Jak doktor myśli, co to?

– Przerażenie, nic innego, jak przerażenie – wyszeptał doktor.

Teraz jej spojrzenie wyglądało tak, jakby chciało przewiercić się przez zasłonę.

Doktor obszedł pokój. Mogło się przecież zdarzyć, że odkryje, co ją wystraszyło. Na biurku leżał papier listowy powalany atramentem. Zaczęła coś pisać, ale pióro wypadło z dłoni i potoczyło się po papierze. Bilet, który wysłał jej późnym wieczorem, by spytać, czy ona i ciotki mają ochotę odbyć z nim nazajutrz wycieczkę, leżał tuż obok.

Jasne było, że siadła przy biurku, by mu odpisać. Zdażyła napisać tylko „Mój koch-”. Wtedy się przestraszyła, a pióro wypadło jej z dłoni.

Doktor czuł, jak śledzą go spojrzenia ciotek. Zastanawiały się pewnie, czy przypadkiem nie powiedział czegoś Ellen. Nie wiedziały, rzecz oczywista, że najważniejszą rzeczą było, iż poczynął rozumieć, co spowodowało przerażenie. Nie mógł przecież uwierzyć w upiorną rękę, było to całkowicie wykluczone.

Biedna dziewczyna, sama przerażona, ale też cała atmosfera wokół niej pełna była trwogi. Nikogo, kto nie byłby potajemnie przekonany, że coś widziała. Pierwszym, co należało zrobić, było doprawdy pozbyć się ich z pokoju, i ciotki Malin, i ciotki Berty, i służki, żeby nie podsycali w niej bojaźni.

– Mniemam, że wszystko mi powie, jeśli będę mógł z nią porozmawiać na osobności – powiedział i zaraz pokój był pusty.

Przysunął krzesło i siadł obok niej.

Niezwykłe, ile twarzy może mieć jeden człowiek! Ledwo mógł poznać Ellen w takim stanie. To spokój, niezmacony spokój, był głównym rysem w jej wyglądzie. Doktor zachwycał się, że zawsze znajdował ją równie spokojną, a sztuka to była prawdziwa przemówić ciotkom do słuchu. Ledwo spoglądała sponad robótki, niezależnie od tego, jak bardzo się klóciły. A raz miał jakby widzenie, kiedy wrócił do siebie pewnego wieczoru, znalazł piękną, pochyloną postać siedzącą w blasku lampy przy stole do pracy. Wyraźnie widział smukłą szyję i małe dłonie. Ozdabiały cały pokój. Po tym wydarzeniu się zaręczył.

A teraz przeciwnie. Tylko blada zgroza i rozszalała dzikość. Dokładnie to, czego sobie nie życzył. Rozhisteryzowana żona! O, nie dopuść, Boże, nie dopuść za nic!

Mimo wszystko musi coś teraz dla niej zrobić. Nie może zważać na to, że stała mu się prawie wstrętą. Musi myśleć o niej jak o pacjentce, a nie jak przyszłej żonie.

– Powiedz, Ellen, co się dzieje?

Nie odpowiedziała.

– Powiesz mi to, zrozumiano? – rzekł dość surowo.

Utkwiła w nim wzrok, w którym jakby rozbłysła iskierka nadziei.

– Będiesz miała spokój, jak tylko powiesz.

Jej ładne, jasne spojrzenie miało jakąś skazę. Zawsze spoczywało na tym, do kogo się zwracała, z blaskiem tak spokojnym jak blask słońca. Może teraz jej oczy były jeszcze piękniejsze. Był w nich jednak taki błysk, którego właściwie wcale a wcale nie szukał.

Gwałtownie ze sobą walczyła. Nie mogła utrzymać bez ruchu dolnej szczęki. Włożyła między zęby chustkę do nosa, żeby nie było słyhać, jak o siebie szczekają.

W końcu usłyszał, jak wypowiada kilka słów. Uderzała jedną ręką o drugą i myślała głośno:

– Muszę mu to powiedzieć. Muszę, muszę. Inaczej ona przyjdzie znowu. Tak, przyjdzie znowu.

Potem zaczęła mówić, a on się tym osobliwie przejął. Najbardziej przypominało to ten nastrój, w jaki wpada człowiek, kiedy idzie we fraku na procesję, a tu przychodzi ulewa. Czuje, jakby stracił cały swój format i dostojność.

Wyznała nagle, że nie ma dla niego sympatii. Bardzo chciała za niego wyjść, ale tylko i wyłącznie po to, by odejść z domu.

Gdyby nie dotyczyło go to jego samego, mógłby się śmiać, jak tej dziecinie brakowało mężczyzny. Tego pierwszego, tego najlepszego. Tak była zdecydowana, by odejść. Ze względu na ciotki. Były dla niej bardzo dobre i same nie wiedziały, jak ją nękają.

Popatrzyła na niego z rozpaczą w oczach i jakby błagała, aby zrozumiał, aby jej współczuł. Wiedział, jakie są ciotki, on, który doglądał ich przez wiele lat. Były tak trudne, tak trudne, tak oddane niezachwianym przekonaniom i lękom. Ciotka Malin nieustannie oczekiwała pożaru, ciotka Berta nieustannie wierzyła, że ktoś rozjedzie ją na ulicy. Wiedział, jakie są. I jeśli ona, Ellen, zostałaby u nich, zdziwaczałaby tak samo. Wiedziała to.

Lecz chciała być normalnym człowiekiem. I prosiła je, aby mogła pójść do pracy. Na to naturalnie nie chciały przyzwolić. Mógł więc zrozumieć, że nie zostawało jej nic innego, jak wyjść za mąż.

Nie mógł się powstrzymać, by nie spytać, czy się nie bała, że jako mężatka może mieć gorsze życie z kimś, o kogo nie zabiegała, niż u ciotek.

Och nie, gorzej chyba nigdy być nie mogło. Bo mężczyzny przynajmniej czasem nie było. Ciotki zaś były w domu cały dzień.

No tak, skoro była tak wylewna. – Przyszło jej kiedyś do głowy, by mu okazać sympatię? – Potrząsnęła głową. To było coś całkowicie nie do pomyślenia. – A dlaczego? Jest za mało przystojny? – Nie, rozwarła oczy na znak poręczenia. – Jest nudny? – Zrobiła odmowny ruch ręką. – No to co jest z nim nie tak? – Jest zbyt zimny. – Ach tak, jest zbyt zimny.

Doktor przeszedł się po podłodze. To było bez wątpienia okropne, że oto takie dziecko urządziło coś podobnego. Pozwalało mu się całować, nie mając dla niego ani krztyny afektu. I wcale nieźle grała swą rolę. W końcu dał się odrwić. I że też był tak obmierzły, że młodej dziewczynie wcale przez myśl nie przechodziło, by go obdarzyć uczuciem.

Wiodła jednak u starowin oczywiście nędzne życie. Dobrze rozumiał, że wyjście za mąż dużo dla niej znaczyło. Byłoby to jak zbawienie za życia. Przyznała to, nie okazując żadnej litości. Nie przyszło jej w ogóle do głowy, że go rani. Musiała pewnie myśleć, że nosi pancerz i twardy jest niczym stal.

Naraz jej głos przeszedł w krzyk.

– Przecież wiesz – powiedziała – że wszyscy, którzy grają fałszywie w tym pokoju, widzą rękę. Widziałam ją. Siedziałam o tam, tam. – I odwróciła się gwałtownie w stronę biurka. – Tam ją widziałam.

– Nie wierzysz, że ją widziałam? – dodała i utkwiała w nim wzrok, jakby chciała wymusić prawdę.

– Opowiedz mi, jak to było – powiedział uspokajająco.

– Pamiętasz, że napisałeś do mnie tego wieczoru, a ja chciałam odpowiedzieć przed pójściem na spoczynek. Ale kiedy usiadłam przy biurku, zrobiłam się niespokojna, długo siedziałam i myślałam, gdyż nie wiedziałam, jak mam zapisać nagłówek. Powinam przecież napisać „kochany”, ale nie sądziłam, że tak będzie właściwie. Pisałam do ciebie po raz pierwszy. Uważałam, że potwornie jest napisać to, co nie jest prawdą, ale w końcu pomyślałam, że mniej napisać nie mogę.

– Tak duża jest różnica między tym, co się pisze, a tym, co się mówi?

– Nigdy nie spytałeś, czy cię kocham, a tylko, czy chcę być twoją żoną.

– Ach, to tak!

– Ale w tej samej chwili, w tej samej chwili, w której zaczęłam pisać to słowo, pojawiła się ręka. Wysunęła się znad krawędzi stołu, a ja chyba siedziałam i wpatrywałam się w nią kilka sekund,

zanim zrozumiałam, co to jest. Nie od razu krzyknęłam. Jakbym nie mogła pojąć, że to coś nadprzyrodzonego. Ale naraz położyła się na papierze i powykrzywianymi palcami wskazała to słowo.

Myślę, że była zadowolona, trzęsła się niczym z radości. Wyglądało, jakby chciała zdrapać dla siebie litery – to była fałszywa gra, a ona chciała wziąć udział.

Podpełzła na żółtych palcach jak wielki pająk. Dokładnie tak, jakby się spieszyła. Od tak dawna nie miała żadnego powodu, by się pojawić. Teraz musiała się spieszyć. Naprawdę chwyciła za pióro wilgotnymi, sękatymi palcami. To była przecież fałszywa gra. A ona chciała wziąć udział.

Krzyknęłam jeszcze raz, jakby to był wąż, a wtedy zniknęła, ale nie wiem, czy jej tu nadal nie ma. Chyba czuję, że jeszcze jest w tym pokoju. A jeśli wróci, umrę. Już umierałam.

– Nie, nie może wrócić – powiedział pocieszająco.

– Wiem, że jest jedna rzecz, którą muszę zrobić – powiedziała. – Muszę to zrobić, żeby nie wróciła. Ale to tak potwornie trudne.

Zdjęła pierścionek zaręczynowy z palca, włożyła swą zimną, drżącą dłoń w dłoń doktora i zostawiła pierścionek. A potem zapłakała w goryczy wyrzeczenia.

Doktor nic nie powiedział, tylko ułożył końce palców naprzeciwko siebie i bawił się pomiędzy nimi pierścionkiem.

Myślał, że z upiorną ręką nie tak trudno się ułożyć, jak z całą resztą. Ręka jakby wzięła jego stronę, dała mu małą zemstę. Czuł do niej sympatię.

Z niektórymi jest tak, myślał, że sumienie zakrada się na nich w taki czy inny sposób bez względu na to, jak próbują je oszukać. Ma ono swoje własne, ciche ścieżki. To tam jego drobna narzeczona wszystko sobie zaplanowała, żeby mieć dobry dom. Musiała się zdobyć na tylko trochę zakłamania, a całe szczęście świata należałoby do niej. I naraz sumienie wyłania się zupełnie bezgłośnie, zakopuje swą minę głęboko w duszy i na koniec w okamgnieniu wysadza wszystkie rachuby i mądrości.

Och tak, och tak. Myślała pewnie, że mogłaby tak kłamać przez całe życie. Widziała może, jak to się udawało innym. Ale oto się okazało, że jest z bardziej kruchego materiału. Jakaś przeszkoda w przynależności do wyrafinowanego rodzaju ludzi sumienia. Gdzie się tego człowiek najmniej spodziewa, tam czekają na niego halucynacje sumienia.

Naturalnie wtedy przyjmują taką postać, która jest tuż pod ręką. Było przecież oczywiste, że sumienie w tym pokoju przepoczwarzy się w upiorną rękę.

Siedział dalej, manipulował pierścionkiem i przekładał go z palca na palec. Czuł coś innego niż oburzenie tym, że nie mógł jej zdobyć. Był niemalże smutny. Ona z pewnością zaczynała

go już sobie przypominać, myśleć, że stała mu się krzywda, pochyliła się bowiem i ucałowała jego dłoń.

– Przebacz mi – powiedziała.

Była tak delikatna, że wydawało się to osobliwe. Kiedy stało się dla niej jasne, że postąpiła niewłaściwie, nie wiedziała, co takiego zrobić, aby się pojednać. Nie było doprawdy powodu, by dłużej ją dręczyć. Wystarczyło przecież, żeby się otworzył, powiedział, że nie jest dużo lepszy niż ona. Wyrachowanie po obu stronach. Jedno szukało domu, drugie gospodyni. Uspokoi się, gdy to usłyszy.

Powie jej, że to dla niego żadne gorzkie rozczarowanie. On też nie był tak znowu strasznie zakochany.

Tak jest, nie ma przecież powodu, by przeciągać męczarnię. Najlepiej będzie, kiedy to skończy. Da wszystkim spokój i obudzi się jutro jako wolny.

Kiedy wstał, by odejść, łzy napłynęły mu do oczu. Jej utrata mimo wszystko sprawiała mu ból. I właśnie to miał jej powiedzieć.

Zaczął mówić nieskładnie, że jest ona człowiekiem sumienia, że należy do doskonalszego rodzaju ludzi cierpiących na nerwy, którzy w tych czasach zaczęli się pokazywać tu i tam. Była mu droga właśnie przez to. Właśnie z powodu tego, co wydarzyło się w nocy, było mu trudno się jej wyrzec.

Jest wolna, to rzecz jasna, ale gdyby kiedyś mogła i chciała...

Popatrzył na nią zaskoczony. Nie dręczyło jej to? Otóż nie, rysy dopiero opuściła sztywność, a oczy stały się spokojne. Siedziała z półotwartymi ustami i słuchała dalej.

Mówił, jak chciał urządzić im życie, mówił, jak do niej tęsknił. Mówił o tym zupełnie inaczej, niżby mówił przed półgodziną. Ale też widział to w zupełnie inny sposób teraz, gdy miał ją stracić. Mówił o wiele ładniej, niż myślał, że jest w stanie. Wspólne życie z łagodną i uroczą istotą, właśnie wspólne z nią życie, zdało się nagle w jego wyobraźni cudowne i to jej powiedział.

Gdy podszedł i wyciągnął do niej rękę na pożegnanie, łzy raz jeszcze napłynęły mu do oczu. Była teraz tak ładna, kolory na powrót wpłynęły na policzki, była jak nowo rozkwitły kwiat. Wyglądała na równie szczęśliwą, co taki, który uszedł z życiem ze śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Doktor stał z jej ręką w swojej, wyciągając własne wnioski tak szybko, jak nigdy wcześniej.

Naturalnie nie rozumiała samej siebie, nawet odrobinę. Ach tak! Wziął głęboki oddech. Całe przygnębienie odeszło. Przeszyło go radosne poczucie zwycięstwa. Jednym tylko małym wysiłkiem przemówiłby do jej miłości. Ona przecież tylko tego potrzebowała, żeby pokazał, że darzy ją sympatią.

Wziął pierścionek i z powrotem włożył go jej pewnie na palec serdeczny.

– Bez żadnych głupot – powiedział, gdy chciała zabrać rękę.

– Ale – odrzekła – nie wiem, nie śmiem...

– Za to ja śmiem – powiedział doktor. – Nigdy nie byłem z tych, co to uciekają przed szczęściem.

Wyszedł na korytarz, znalazł swój płaszcz i wszedł z powrotem, żeby zapalić cygaro.

– Biedactwo – powiedział, zaciągając się kilka razy. – Tak sobie myślę, że jesteś jak spętana, by mnie teraz kochać. Bo inaczej przyjdzie tamta ręka i wydusi z ciebie życie.

(1898)



The Thing [Ręka], The Addams Family, serial TV ABC, David Levy na podst. prac Charlesa Addamsa (1964)



INTYMISTYKA



Narodziny

Siedziałem spokojnie przy kotle podgrzewając dusze niedawno dostarczonych śmiertelników, kiedy wezwano mnie, niższej kategorii diablątko, do szóstej komnaty Arcyksięcia Ciemności. Podobno Abaddon znowu chciał namieszać trochę na Ziemi i wysłać tam najpierw kilku szpiegów. Chciał się zorientować, jak mocno uderzyć, i gdzie by przybyło nam trochę dusz.

Był styczeń i zimno jak diabli. Poinformowano mnie o zadaniu, wypowiedziano zaklęcie i wysłano na ludzki padół. To nie było tak proste, bo zanim wybrałem, wirowały przede mną szybko przemykające dni, miesiące i lata. Na chwilę zatrzymałem się w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym przy Zatoce Gdańskiej. Żmij pokłócił się z Perunem. Obaj przybrawszy postać potężnych orłów stoczyli walkę nad wodami Bałtyku. Wielu rybaków z zaciekawieniem obserwowało to brutalne spięcie dwóch dawnych bogów. Od tego zdarzenia pewnie później wzięło swą nazwę Orłowo, dzielnica Gdyni.

Mimo ulubionego rocznika, czasy te nie za bardzo mi odpowiadały i ostatecznie wylądowałem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym w okolicach szpitala położniczego na ulicy Klinicznej w Gdańsku. Takie odwiedziny dla śmiertelników nie były zbyt przyjemne, bo wraz z moją wizytą na Ziemi zawsze rozpętywało się piekło.

Oczywiście, mądrzy synoptycy tłumaczyli takie igraszki pogody z właściwą sobie pewnością. Otóż styczniowe temperatury powyżej zera, a było sześć na plusie, zawsze powodowały gwałtowne zmiany w ruchach mas powietrza. Potężny huragan, latające dachówki, powykręcane i wyrwane z korzeniami drzewa. Niedaleko od miejsca mojej wizyty przychodził na świat Marcin, a wszyscy drżeli mówiąc, że chyba Szatan zawitał na Ziemi. Pochlebiali mi, nie wiedząc, że trochę prawdy było w ich czczym gadaniu.

Ludzie, sądząc po sondażach, byli bardzo zadowoleni z tego roku, więc postanowiłem im go zepsuć. W holu kilka osób oglądało z zaciekawieniem odcinek serialu Droga, który miał premierę kilka dni wcześniej. W tym samym czasie w angielskiej telewizji po raz pierwszy wyemitowano teleturniej Koło Fortuny, ale w zapyziałej, komunistycznej krainie niewielu miało dostęp do zagranicznych programów. Dopiero za siedemnaście lat puszcza tego cudaka

w Telewizji Polskiej.

Był poniedziałek, szósty stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, około szóstej nad ranem. Nie lubię zbytnio tego dnia, bo na wspomnienie Trzech Magów po prostu mnie mdli. W tamtym czasie kazano nam cały czas przeszkadzać im w podróży do Betlejem, ale Ci u góry podesłali im kometę Halleya by wskazywała drogę do jakiejś stajenki...

Przechadzałem się leniwie po holu, obserwując, czy dla zabawy można kogoś odesłać do nas. Zagląając do sal porodówki trafiłem na panią Krystynę, która bardzo szybko doszła

do siebie po rozwiązaniu i ruszyła do jedyne go telefonu na portierce, by zadzwonić do rodziny.

No cóż, nadszedł czas, by troszkę narozrabiać.

Lekarze z paniką w oczach szukali jej po holach i prosili o szybką wizytę w gabinecie.

Na moment o mało nie zemdląła, gdy usłyszała, że ma podpisać dokument zgody na operację.

Stan zdrowia brzdąca nie był najlepszy, opanowywała go zlecona przeze mnie żółtaczka. Bardzo łatwo przyszło mi także wywołać konflikt serologiczny. Ku mojej wściekłości, lekarze nie dali za wygraną i przetoczyli mu krew. Na jego rączce zauważyłem kawałek materiału, z datą i lekarską adnotacją, którymi znakowano maluchów, by się nie pomylili. Nie pomógł nawet wypadek karetki, który wiozł położną do pomocy na oddział intensywnej terapii.

W tym samym czasie kilka kilometrów dalej grupa przyszłych terrorystów, których gościło państwo polskie w ośrodku dla cudzoziemców w Gdańsku Brzeźnie, świętowała hucznie narodziny z Haliną, mamą Krystyny, babcią Marcina. Po raz pierwszy chyba wypła za zdrowie małego i na tyle mi się to spodobało, że przestałem nękać szkraba.

Wróciła później do domu, ledwo trzymając pion, ale to z dumy i radości, gdyż narodził się pierworodny ukochanej córki. Tymczasem dumny tata czekał naście godzin w nerwach pod kliniką, ale nie dopuszczono go ani do ukochanej, ani tym bardziej do ratowanego Marcina. Na portierni któryś z tatusiów nerwowo przeglądał czwarty numer „Dziennika Bałtyckiego”, w którym ogłaszano trzydziestą trzecią rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej, opisywano plenum PZPR i przygotowania do imprezy w Ambasadzie ZSRR. Obok faceta wisiał plakat z reklamą wyznaczonej na siedemnastego stycznia premiery filmu „Ziemia obiecana” w reżyserii Andrzeja Wajdy.

Z nudów postanowiłem przeskoczyć na chwilę do Krakowa do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego. W Wiśle znaleziono fragmenty ciała zamordowanej dwudziestotrzyletniej studentki i kibicowaliśmy Robertowi, by znalazł się jak najszybciej u nas. Postanowiłem zostać tam na dłuższą chwilę...



NN, *I usłyszałem jakby głos w pośrodku czterech Zwierząt, mówiący:
„Kwarta pszenicy za denara i trzy kwarty jęczmienia za denara, a nie krzywdź oliwy i wina!”
(ok. 1982)*

4

**SNY, ZWIDZENIA,
PREKOGNICJE**



Jakub Wedeł

Sentyx



Próba odtworzenia wizualnego sennych wizji Abrahama De'Loy, brytyjskiego aptekarza z pierwszej połowy XX wieku, którego obcowanie z okultyzmem praktycznym spowodowało ciągle wizje senne ukazujące... Piekło.

Zym razem jestem przekonany, że to co oglądam, nie jest jedynie wizją, ale pewną formą przejścia. Fizyczność doznań staje się coraz bardziej oczywista. Odczucie ciepła siarki, której dotykałem wczoraj na ziemi po tamtej stronie, towarzyszy mi do dziś, nie mówiąc już o zabrudzeniach mojej koszuli smołą, o którą się otarłem. Mimo że jestem tam tylko obserwatorem, te krótkie momenty wzbudzają we mnie niepewność. Jednakże chcę wiedzieć więcej...

Dziś byłem w miejscu, w którym czułem się jak w gmachu wielkiej opery, lecz takiej bez siedzeń, sceny czy świateł. Szczególnie świateł. Chodziłem niemalże po omacku po kafelkowej posadzce w tym ciemny chłodnym i niezwykle pustym miejscu... Szczególnie pustym. Nigdy dotąd nie odczuwałem takiej próżni... Także wewnątrz siebie. Zaczynałem mieć wrażenie, że ta niepojęta forma nicości wstąpiła we mnie i zaczęła pożerać mnie od środka, jakby obezwładniała moje zmysły. Nie zważając na nic wola prowadziła mnie dalej. Ale idąc przez ten pusty, pusty, pusty gmach zacząłem wyczuwać, że mimo wszechogarniającej pustki, jest to miejsce zamieszkałe. Nie byłem pewny przez co, ale wiedziałem, że moja „obecność” została zauważona. W którymś momencie zdało mi się, że w trakcie mojej wędrówki przez ten ogromny pustostan, w mroku wokół siebie widzę ruch, coś przebiegającego, czołgającego się, bojącego się światła mojej świeczki.

Po pewnym czasie dotarłem do ściany owej konstrukcji. Słyszałem również, jak dźwięki ruchu, które rozbrzmiewały dotąd wokół mnie, teraz dochodzą bezpośrednio zza moich pleców. I słyszałem je głośniejsz, i słyszałem ich więcej. Teraz umiałem je lepiej opisać. Brzmiały jak łamane kości, jak skóra trąca o ziemię, jak stłumione jęki konwulsji...

Gdy odwróciłem się, aby zobaczyć ich na własne oczy, światło mojej świeczki oświetliło chmurę, powyginanych, chaotycznie trzęsących się i przerażonych ludzi. Albo czegoś, co kiedyś można było nazwać ludźmi. Mimo swoich zwyrodnień uciekli w mrok szybko, na tyle szybko, że zdążyłem przyrzeć się tylko jednemu. Oprócz deformacji kończyn, ten konkretny wyglądał tak, jak gdyby nie chcąc patrzeć na horror rozgrywający się w mroku, rozszarpał sobie własną twarz.



„Mieszkaniec Sheolu” – dopisek 15.09.1954

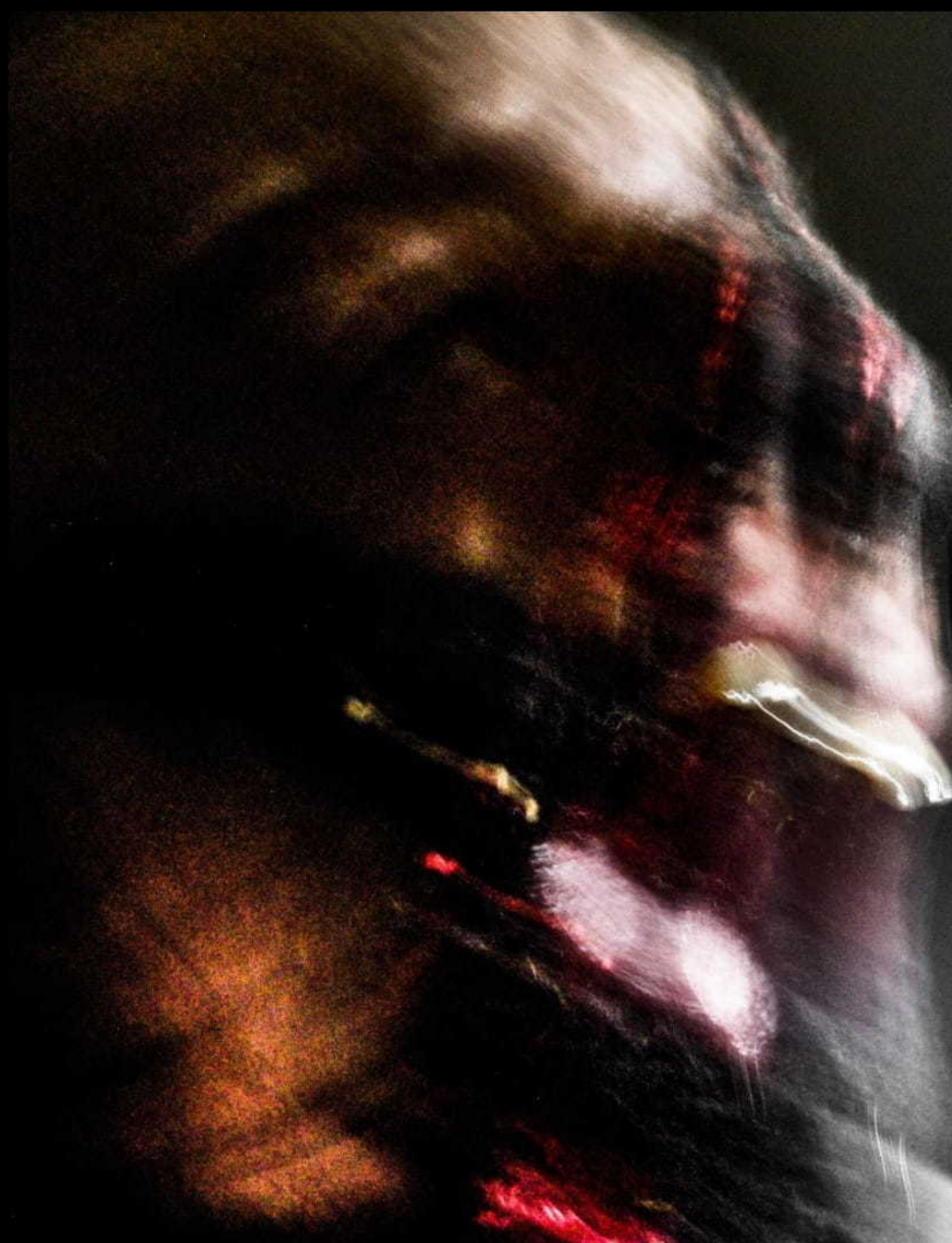
Zapis Snu #10 18.09.1954

Dzisiejszego dnia moja wizyjna podróż była utrudniona. Mimo wszelkich prób zapadnięcia w sen, niczego nie widziałem. Niczego nie czułem. Jak gdyby wrota, do których otrzymałem dostęp, zostały dla mnie zamknięte. Zaczęły mnie ogarniać gniew i irytacja. Ilość ofiar, jakie musiałem ponieść, aby otrzymać ten przywilej, powinna być wystarczająca, żeby takie sytuacje nie miały miejsca. Tym bardziej, iż według mojej wiedzy i zeznań innych DOMNIEMANYCH wędrowców, po wczorajszej wizji skalistych gór i czarnego śniegu, powinienem – byłem pewny – dziś być w stanie przekroczyć kolejny krąg i zejść niżej.

Nie znając przyczyn, pochopnie podjąłem decyzję powtórnego rozpoczęcia rytuału, który wcześniej pozwolił mi rozpocząć moją podróż. Śpieszyłem się, nie chciałem stracić cennych godzin nocy. Nie byłem świadom błędu, jaki popełniam. Rytuał zadziałał, jednakże jego powtórne

i pośpieszne odprawienie, spowodowało, że zamiast przeniknięcia do świata ciemności, jak działo się to co noc, zostałem do niego wrzucony. Pchnięty niczym lalka na drugą stronę. Spadałem z zawrotną prędkością w dół, a wokół mnie ogniste smugi tworzyły niekończące się kręgi w głąb ognistej, zadymionej otchłani. Ściskając w ręku moją świecę uświadamiałem sobie, że tym razem moja ochrona może nie zadziałać.

W końcu przebiwszy się przez chmury dymu, ujrzałem niekończące się, ciemne jak popiół równiny, pełne rozkopanych grobów. A każda z mogił buchała ogniem w kolorze krwi. Szybko się zorientowałem, iż samemu również lecę w stronę takiego grobu. Przez parę sekund byłem pewny, że to koniec mojego istnienia, lecz jakimś cudem dar ochrony, który onegdaj otrzymałem, zadziałał. Szybko sobie również uświadomiłem – czemu. Nie było to miejsce dla mnie, otchłań, skutkiem mego rytuału, popełniła błąd. Nie chciała mnie. Grób, do którego wpadłem, był już zajęty.



„Umęczony z kręgu szóstego” – dopisek 19.09.1954

Zapis Snu #13 21.09.1954

Moje podejrzania okazały się prawdziwe. Z winy sposobu podróży, jaki wybrałem, nie potrafię określić przestrzeni, w jakiej się znajdę podczas kolejnych nocy. Co jeszcze wyraźniej pokazuje, jakim stekiem egocentrycznych bzdur jest zapis Dantego. A do tego jest niepełny. Dziś znalazłem się w *locum*, którego próżno szukać w jego profanacjach.

Było to miejsce osnute mgłami, wyschnięte pustkowie z pojedynczymi martwymi drzewami. Jednakże rzeczą, która najbardziej mnie zszokowała, była ilość światła docierająca z czegoś, co zinterpretowałem jako niebo. Nie przywykłem do światła słonecznego w czasie mojej podróży, więc domniemywam, iż było to miejsce blisko bariery między tamtym światem a naszym.

Niedługo potem z mgły przede mną wyłoniły się trzy smukłe postacie, owinięte materiałem zakrywającym ich twarze. Nie zwracały na mnie uwagi, wymijały mnie kolejno i kroczyły powolnym krokiem przed siebie. Gdy zacząłem podążać za nimi, zorientowałam się, że ich wędrówka to bezcelowe kręcenie się w miejscu. Nie rozumiałem, jakie to miało znaczenie, jaki był cel w tym wszystkim.

Wtedy przypomniała mi się treść jednego z zaginionych listów watykańskich, do których nigdy nie otrzymałem dostępu. W liście tym była mowa o zaginionym fragmencie z Apokalipsy Św. Jana – jego treść brzmiała mniej więcej następująco.

„I wtem, gdy znak bestii ukaże się na wybranych i nadejdzie syn gwiazdy zarannej, przed nim z pustyni wyłonią się trzej królowie.

Pierwszy z nich w kolorze futra bestii, ciemniejszej niż węgiel, i z twarzą zakrytą, bezludzką przypominającą, i rzucającą cień, którego żadne światło nie rozświetli.

A zaraz za nim z mroku tego poprzedniego przybędzie król w karmazynie odziany, który koronę o wadzę wszystkich koron na swej głowie nosi, a na szyi zawieszony ma otulony w materiale różaniec bez krzyża – który jak poczwarzka czeka na nadejście motyla. Twarz jego jak poprzedniego. Niewidoczna dla mnie teraz, w jej miejscu tylko czerwień i opadła korona.

Ostatni w białym zawoju, trzęsącej się postaci, którego krzyk przez materiał brzmi jak ostatni skowyt setek duszących się niemowląt.

Ich trzech przybędzie razem z nim, antychrystem”.



„Trzech króli” – dopisek 21.09.1954

Zapis snu #16 24.09.1954

Parę nocy temu zauważyłem, że moja prezencja w świecie snu staje się coraz bardziej namacalna. Dziś jednak przekonałem się o nietrafności tego stwierdzenia. To nie ja materializuje się coraz bardziej tam, tylko to piekło przenosi się tutaj. Póki co nie zauważam alarmujących zmian, które mogłyby załamać proces mojej wędrówki bądź naruszyłyby w większym stopniu, moją rzeczywistość. Mimo to ostatnia noc wywołała we mnie stan niepokoju.

Proces zasypiania przebiegał bez zarzutu, wizja była klarowna – ewidentny krąg czwarty, umęczone duszę ciągnące kamienie. Przez brak możliwości kontaktu nie miałem zbyt wielu ciekawszych spostrzeżeń. Niewyraźne twarze dusz również uniemożliwiły identyfikację, poszczególnych osób.

Natomiast to, co najbardziej zmartwiło mnie dzisiejszej nocy, to wydarzenia po przebudzeniu. Uruchomiony przez snem telewizor wyświetlał teraz trzy statyczne fotografie, zmieniające się dokładnie co dziesięć minut przez godzinę. Potem zniknęły.

Mimo odłączenia od prądu telewizor nadal nadawał obrazy. Pierwszy z nich przedstawiał szyny kolejowe idące wzdłuż mojej posiadłości, drugie przedstawiało pozostałości po pożarze mojego domu rodzinnego, natomiast trzecie przedstawiało moje łóżko. We wszystkich trzech fotografiach w centralnym punkcie znajdowała się zakapturzona postać, zwracająca niemożliwą do opisanego twarz w moją stronę, niezależnie od mojego położenia w mieszkaniu. Widząc ubiór istoty, przypominający strój grabarza, zatrwożyłem się o swoje życie. W końcu tutaj nie jestem chroniony. Niepokój zwiększył również fakt, iż przez dosłowne ułamki sekund przed wyłączeniem się odbiornika zauważyłem napis „CHARON” uwieczniony po hebrajsku w centrum ekranu.

Reszta dnia minęła bez żadnych niedogodności.



„CHARON” – zapissek 24.09.1954

Zapis snu # 36 XX.XX.1954

Bałem się że tak będzie, nie mam już ucieczki, wszędzie je widzę, wiedziałem, że niżej nie powinienem był ale, ale... chciałem zobaczyć, chciałem udowodnić.... Wszędzie je widzę, wiedzą że byłem aż tam, gdzie moja świeczka. Jakkolwiek bym nie uciekał, one będą tuż za mną, ścigać czekać. Nie mogę uciekać w nieskończoność, wiem że trumna z ognia czeka na mnie, wiem, że to one mnie do mnie wrzucają, ja muszę uciekać. Ja widzę je wszędzie, ja widziałem piekło i ja będę jego więźniem.

„Upadły cherubin” – zapisek XX.XX.XX





SCENARIUSZ



MARTWY TOM

JAKUB WEDEŁ

BLACK SCREEN

Słyszymy dzwoniący telefon. Szelest kołdry, odgłos kilku kroków.

AMANDA

Halo? Co jest?

(Sennie, ale dość podenerwowana)

ŚLED CZY

Szefowo, Przyjeżdżaj jak najszybciej, mamy tu nietypowego gościa.

WNĘTRZE. POKÓJ SOCJALNY, KOMISARIAT POLCJI. NOC

Znerwicowana AMANDA, wygląda jakby to nie była pierwsza noc, której nie przesypia. Jest komisarzem policji. Zaciska w ręce plastikowy kubek, z którego pije kawę. Wydaje się być nieobecna, pogrążona w myślach. Zegar wskazuje 4:00.

Do Amandy podchodzi ŚLED CZY trzymający w rękach teczkę z aktami. Jest równie zaniepokojony, delikatnie panikuje.

ŚLED CZY

Amanda, słuchaj...

Zanim śledczy dokończy, Amanda odwraca się do niego nerwowo. Śledczy zatrzymuje się na chwilę i wzdycha.

ŚLED CZY

Szefowo...

AMANDA

Mów, macie coś?

Śledczy podchodzi bliżej, i nerwowo próbuje sklecić zdania, przeglądając trzymane akta.

ŚLED CZY

Nic, kompletnie nic. Nie możemy nawet ustalić płci, wieku. Nie mamy kompletnie pojęcia, co z tym zrobić. Chemiczni siedzą nad nim, od kiedy się stawił, ale też są w kropce. Jego skóra jest jak...

AMANDA

Mówił coś?

ŚLED CZY

Z całym szacunkiem, pani komisarz, nie jesteśmy pewni, czy to jest w ogóle człowiek. Nie odpowiada na żadne bodźce. Nic.

(Przeciera twarz dłońmi)

Jakby... Na pewno słyszała pani tę miejscową historyjkę...

AMANDA

Mity nie przychodzą same z siebie na jebany komisariat w środku nocy. Poza tym, bądźmy poważni.

ŚLED CZY

Wiem szefowo, wiem... Ale zeznania świadków są zbyt podobne.

Amanda wydaje się lekceważyć zmartwienie Śledczego. Kiwa przecząco głową i dopija kawę.

ŚLED CZY

Amanda, nie widzisz, jak to się łączy? Znasz raporty, a ta hist...

AMANDA

Mogę go zobaczyć?

WNĘTRZE. WEJŚCIE DO POKOJU PRZESŁUCHAŃ, POSTERUNEK. NOC

Amanda i śledczy podchodzą do drzwi.

ŚLED CZY

Szefowo, naprawdę nie wiem,
czy dasz radę coś tutaj zrobić,
ale proszę cię, bądź ostrożna.
Nie wiemy, z czym mamy
do czynienia

AMANDA

(sarkastycznie)

Miałam już do czynienia
z problematycznymi ludźmi.

ŚLED CZY

Szefowo, proszę, nie bądź taka
tym razem... To nie jest...

Amanda patrzy na niego pogardliwe; ignoruje go otwierając
drzwi. śledczy odprowadza ją wzrokiem.

WNĘTRZE. POKÓJ PRZESŁUCHAŃ, POSTERUNEK. NOC

W pokoju są dwa krzesła i stół, pod ścianą stoi uzbrojony
POLICJANT. Przy stole stoi ISTOTA przypominająca ciało
topielca. Jest owinięta w biały materiał. Obok niej stoja dwie
osoby w kitlach i maseczkach; „badają ją”.

AMANDA

Wyjdźcie!

Dwie postacie w kitlach zwracają wzrok na komisarz.

AMANDA

Nie słyszycie?! Won!

Osoby w kitlach niechętnie wychodzą.
Amanda siada przy stoliku, otwiera akta, odwraca się
do policjanta stojącego w pokoju.

AMANDA

Ty też.

POLICJANT

Z uwagi na bezpieczeństwo,
szefowo, nalegam, aby zostać.

Amanda odwraca zirytowana głowę i wzrok. Policjant wydaje się być „zdegustowany” obecnością Amandy w pokoju. Przez cały czas dziwna istota siedzi całkowicie bez ruchu.

AMANDA

Ach, a więc niezłe show
z siebie zrobiłeś, co?

Amanda otwiera teczkę, wyrzuca akta na stół.

AMANDA

Cztery zaginięcia przez ostatni
miesiąc, dwóch dealerów,
pokerzysta i zdradzająca żona.
Wszyscy świadkowie mówią,
że ofiary przed porwaniem skarżyły
się, że widziały w swoim otoczeniu
gościa, który chodził w przebraniu
trupa. Chyba brzmi znajomo, co?

POLICJANT

Zeznawali, że widzieli trupa,
nie przebranie.

Amanda przygryza wargę.

AMANDA

Mniejsza, pewnie też słyszałeś...
Zrobili z ciebie niezłą
historyjkę.. hmm... rymowanekę.

(deklamuje)

Kiedy kłamstw i oszustw jest już
za wiele,
Martwy Tom przyjdzie po ciebie.
A kiedy Martwy Tom osądzi
bezbłędnie,

to pójdiesz z nim
i oddasz się bezwiednie.
Ostatnie słowa, jakie usłyszysz,
dla niego są bezcenne
„Dokąd, Tom, zabierzesz mnie?“,
powiesz dziecinnie,
na co on odpowie „Oszustw już
kres” i znikniesz przedziwnie.

(kończąc rymowaną)

Taaa, super. Świetnie.

Policjant krzyżuje ręce.

AMANDA

Więc, „Tom”, miałeś swoje
piętnaście minut sławy, a teraz
zapytam spokojnie,
gdzie są zaginieni.

Istota jest niewzruszona, patrzy ciągle na Amandę. Amanda
zauważa kajdanki leżące na skraju stołu.

AMANDA

(do Policjanta)

Czemu nie jest skutny?!!!

POLICJANT

Nie znaleźli rąk.

Amanda odwraca się z powrotem do Istoty, nie jest już taka
pewna i zdecydowana jak wcześniej.

AMANDA

Ok... Słuchaj, jeżeli myślisz,
że wywiniesz się tym całym
Halloweenowym teatrzykiem,
to się mylisz. Mów !

Istota delikatnie przechyla głowę w stronę Amandy.

AMANDA

Mów, gdzie są zaginieni.

POLICJANT

Dziwne...

AMANDA

(zirytowana)

CO jest znowu takiego dziwnego?

POLICJANT

Nie ruszał się kompletnie,
od kiedy go tutaj mamy, a teraz...
a teraz jakby patrzył na panią,
pani komisarz.

AMANDA

Dobra, Tom, spokojnie, nie masz
się czego bać. Wiem, że mnie
słyszysz. Zapytam jeszcze raz,
gdzie są...

Zanim Amanda dokończy zdanie, jej uwagę przyciąga dziwny ruch Istoty. Z klatki piersiowej postaci wyłania się ręka, kładąca zakrwawioną odznakę na stół. Zaraz potem ręka znów znika w ciele istoty. Policjant, łapie za kaburę, podchodzi powoli do stołu i zaczyna czytać numer z odznaki.

POLICJANT

4,33,555,8132, to... to...

AMANDA

Odznaka, komisarza Dwighta.

Istota podnosi głowę i nachyla się do Amandy.

AMANDA

(niepewnym głosem)

Skąd to masz...

Istota ponownie wyciąga rękę i wskazuje palcem Amandę.

POLICJANT

Szefowo, nie chcę rzucać
pochopnych wniosków, ale jeżeli,
mit jest prawdziwy, a oboje wiemy,
że tamtej nocy coś poszło nie tak,
to...

AMANDA

Wydaje mi się, że nie potrzebuję
już twojego wsparcia.
Posterunkowy, proszę wyjść stąd
natychmiast!

POLICJANT

Jeżeli ta istota ma jakikolwiek
związek ze śmiercią komisarza
Dwighta, a jedyną osobą mającą
kontakt z nim wtedy...

AMANDA

(nie odwracając wzroku od istoty)

Posterunkowy, proszę opuścić
ten pokój, albo zgłoszę cię
za niesubordynację!

POLICJANT

Ale... ale...

AMANDA

To jest rozkaz.

POLICJANT

(pogardliwe, jak gdyby
uświadomił sobie powód)

Tak, szefowo.

Policjant wychodzi.
Amanda wstaje od stołu, opiera się o blat, próbuje
zebrać oddech.

AMANDA

Czego chcesz?

Istota pochyla głowę w stronę Amandy.

AMANDA

Wiesz o wszystkim prawda?

Istota kiwa minimalnie głową.

AMANDA

Wiem, wiem, że nie powiedziałam
mu, jakie jest zagrożenie, ale...
ale co mogłam innego zrobić? Gdyby
nie on, to mnie by wysłali. To...
to była kwestia „ja albo on”.
Po... po... poza tym, co bym
powiedziała reszcie?!

Istota kiwa głową.

AMANDA

Poza tym, wszyscy wiedzą,
że Dwight chujowo prowadził
ten komisariat. Nic nie było
dopięte do końca. Teraz
przynajmniej jest lepiej.

Istota wskakuje ręką odznakę.

AMANDA

Hej! Hej! To nie ja go zabiłam,
to nie ja... Ja... Ja... Ja...
tylko mu nie powiedziałam,
jakie jest ryzyko, tak?
Nie zabiłam go! To nie ja!!

Amanda bierze krzesło i blokuje klamkę. Podchodzi do Istoty
i zaczyna krzyczeć.

Śledczy słysząc krzyki zza drzwi próbuje je wywarzyć.

AMANDA

To nie ja, to nie byłam ja!
Rozumiesz?!

Amanda sięga po pistolet.

MARTWY TOM

Oszustw już kres...

Amanda staje w osłupieniu, wyciąga pistolet z kabury.

Drzwi do pokoju się otwierają, do środka wbiega Śledczy.

ŚLED CZY

Szefowo, czy wszystko...?!

Pokój przesłuchań jest pusty. Nie ma w nim ani Amandy,
ani Istoty.

Koniec



Max Ernst, *Une semaine de bonté* (1934)



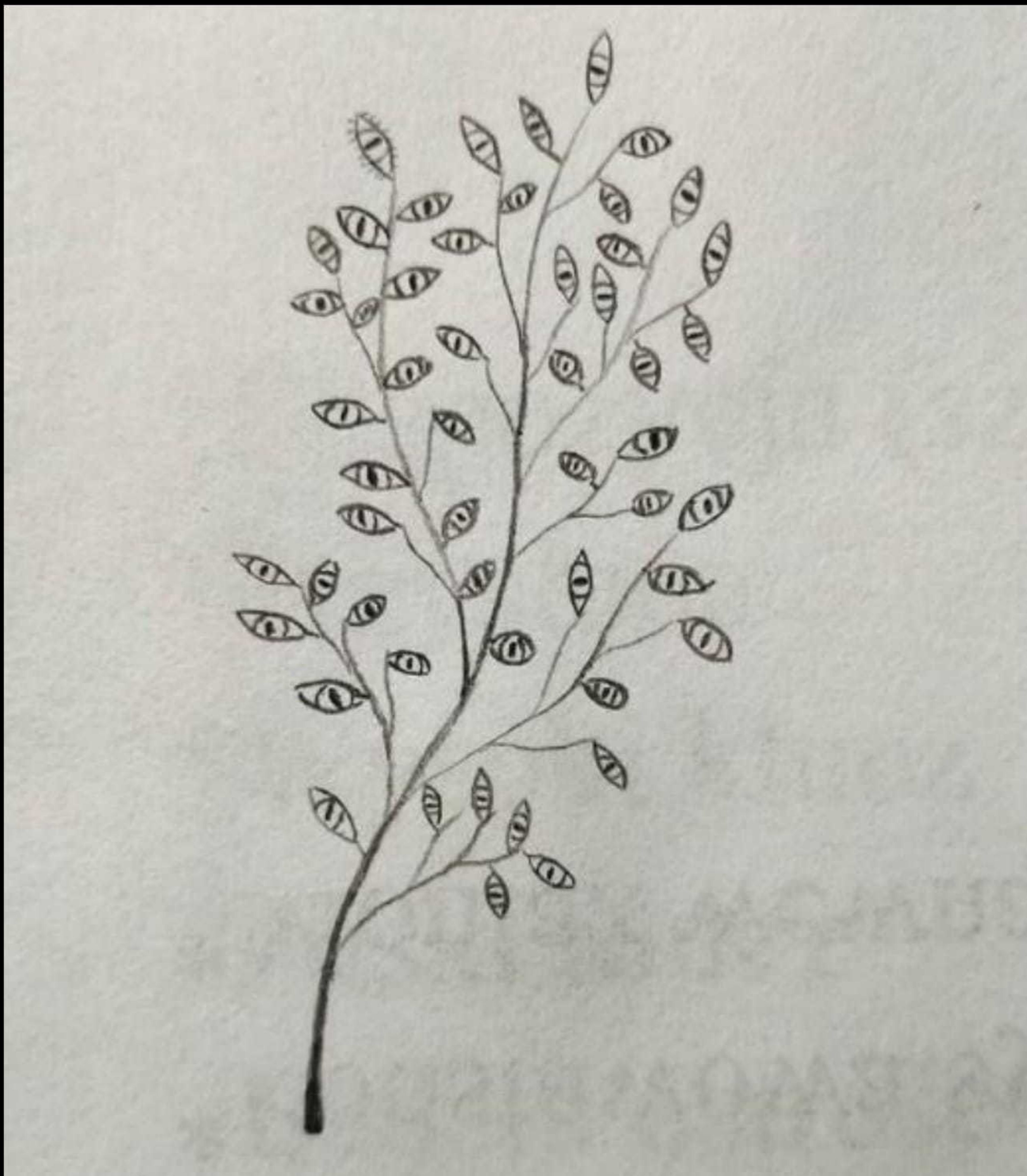
GRAFIKA



Jakub Kraszewski



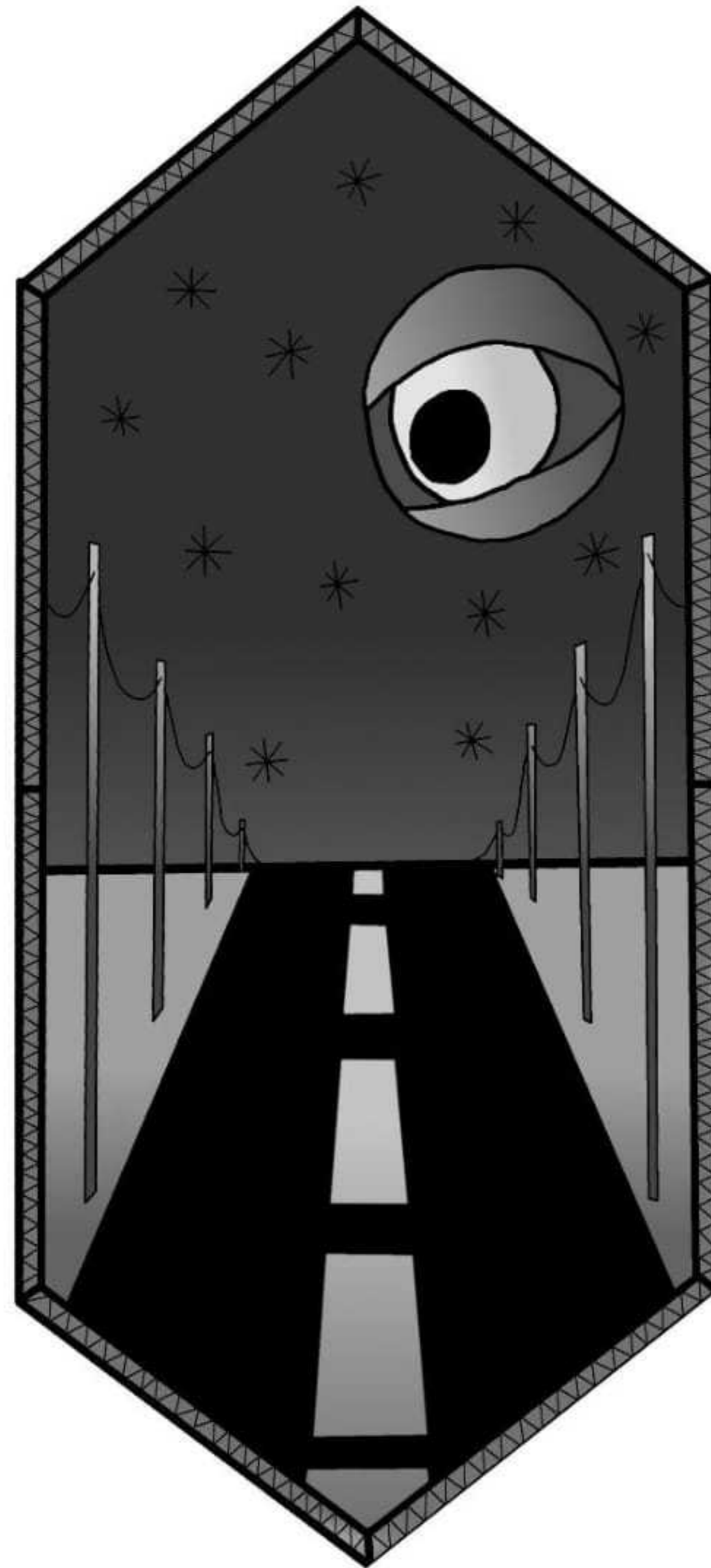
Drzewo marzeń



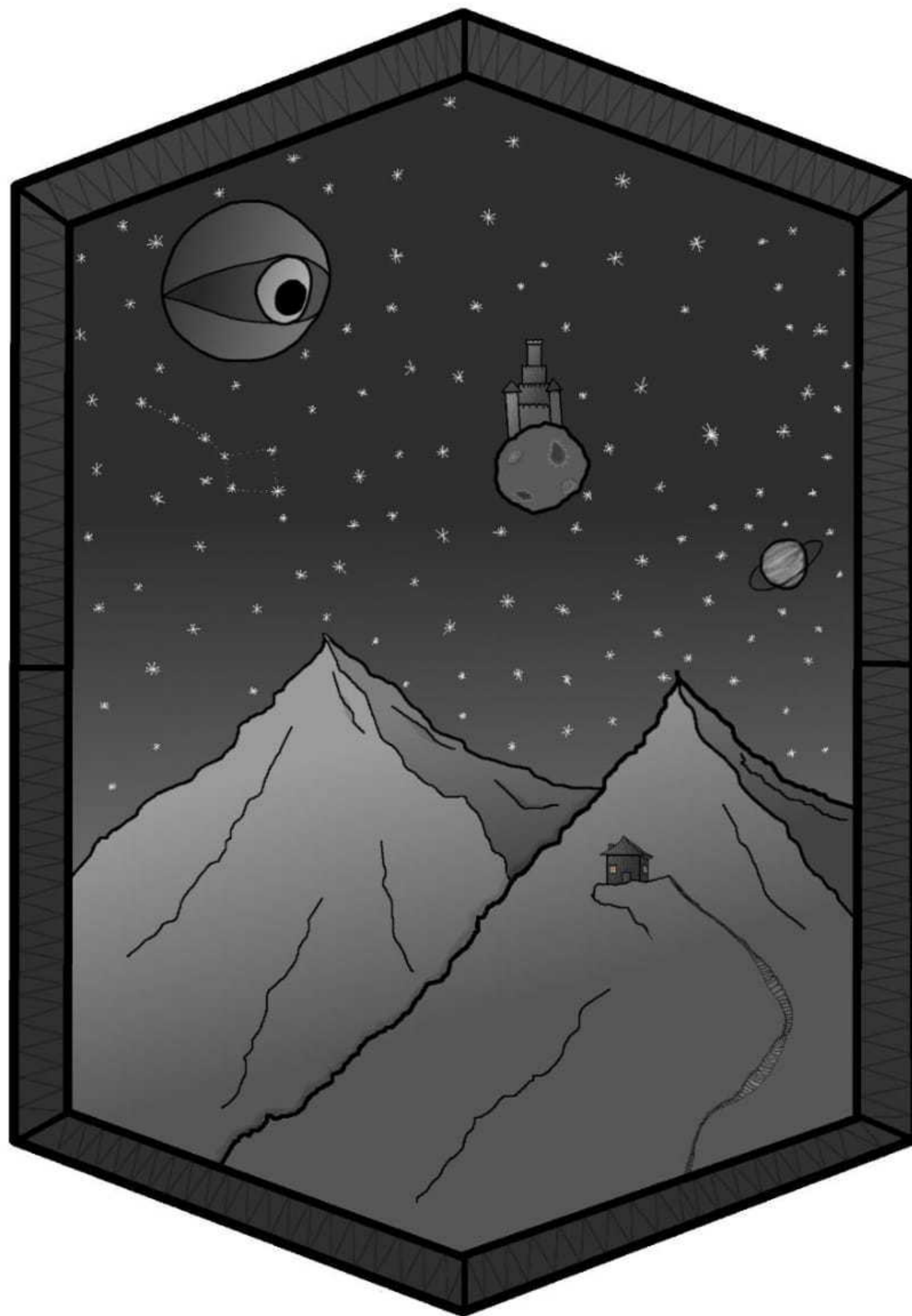
Wzgórza mają oczy. Drzewa mają liście...



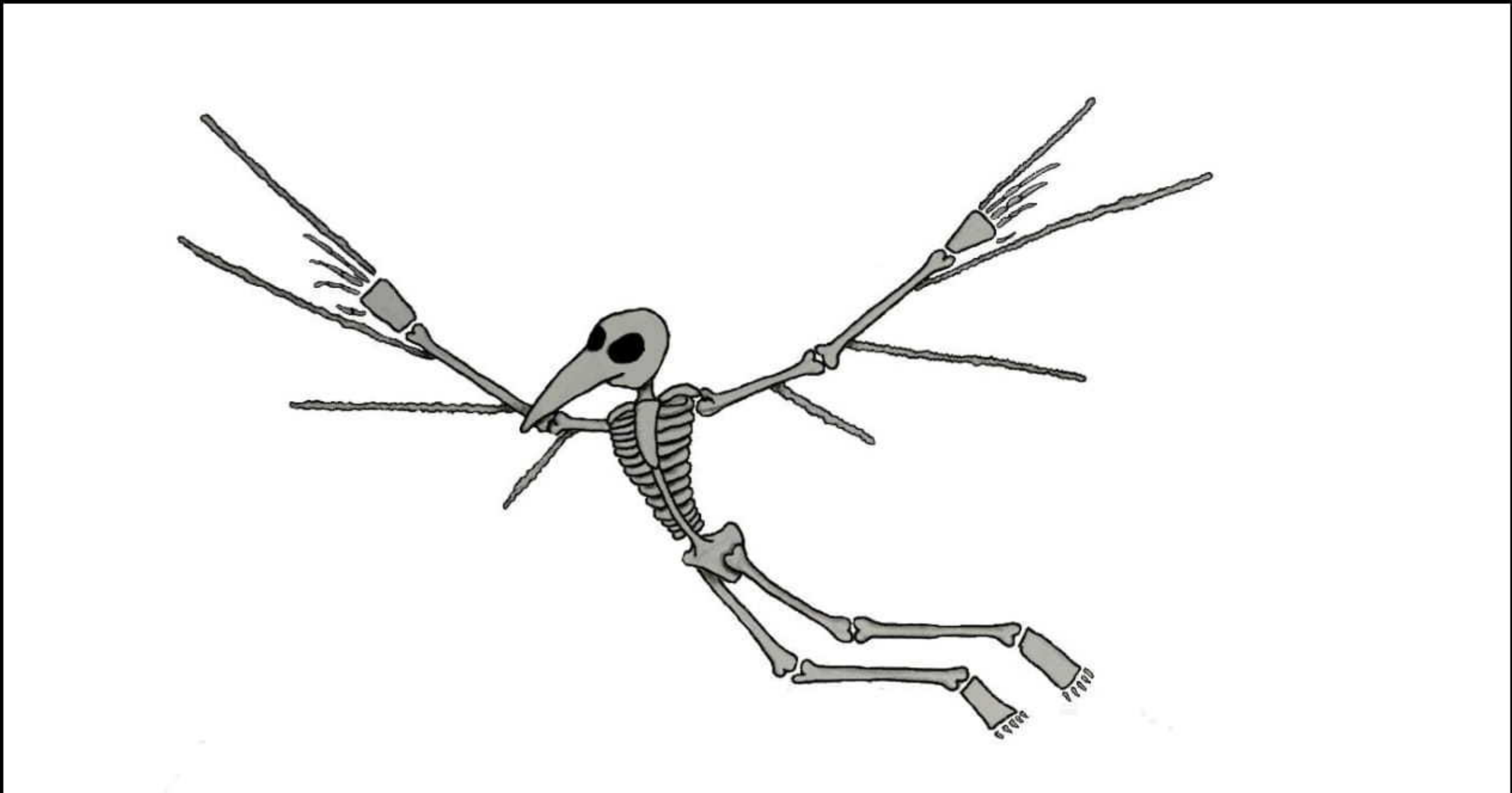
Pan Kaktus



Oko na świat 1



Oko na świat 2



Trup lata



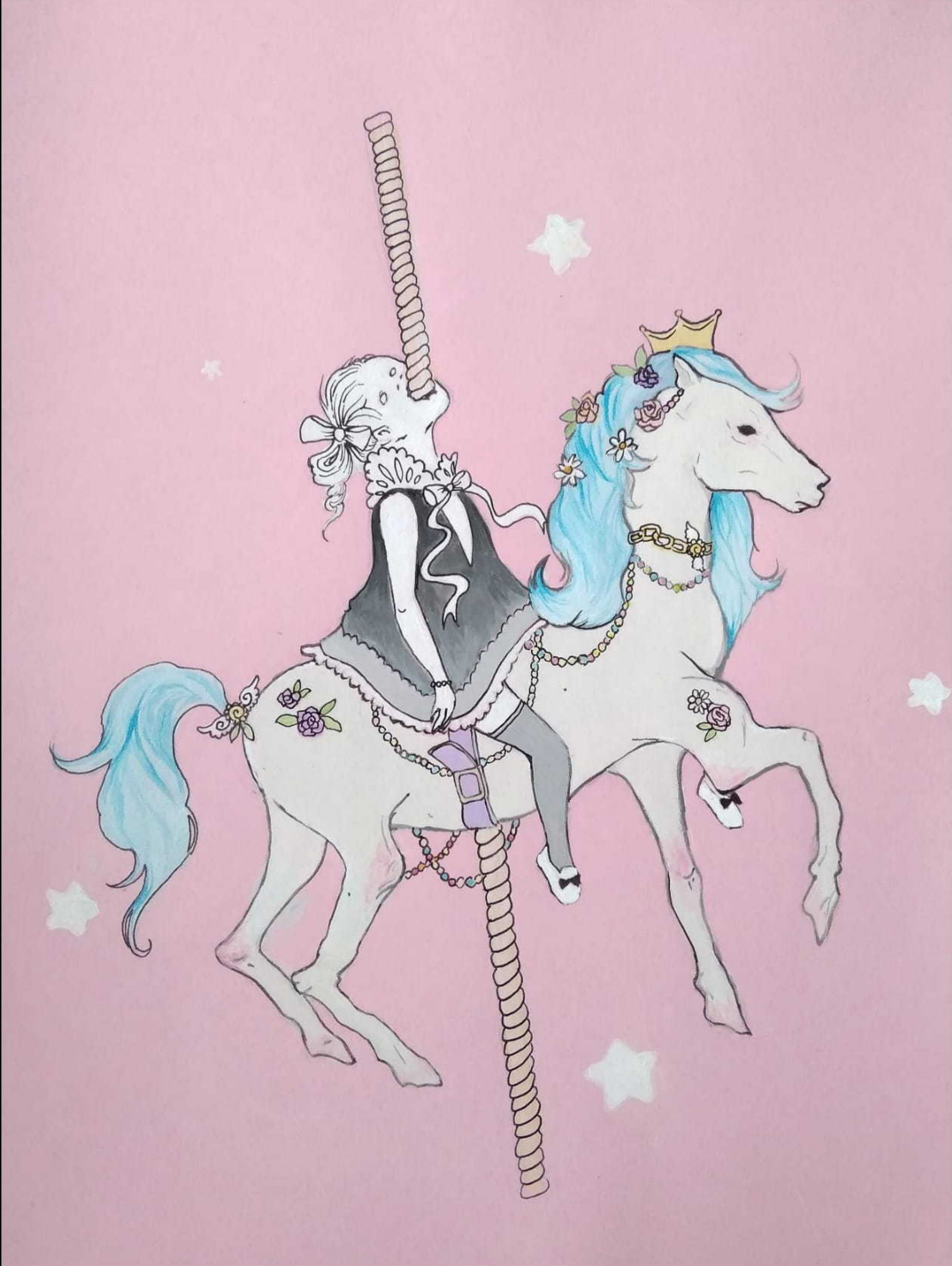
Warden



Murnau się w grobie przewraca



Paulina Sokólska



...inspirowane,,,



T
H
A
'
T
S

L
I
F
E



T
H
A
'
T
S

L
I
F
E





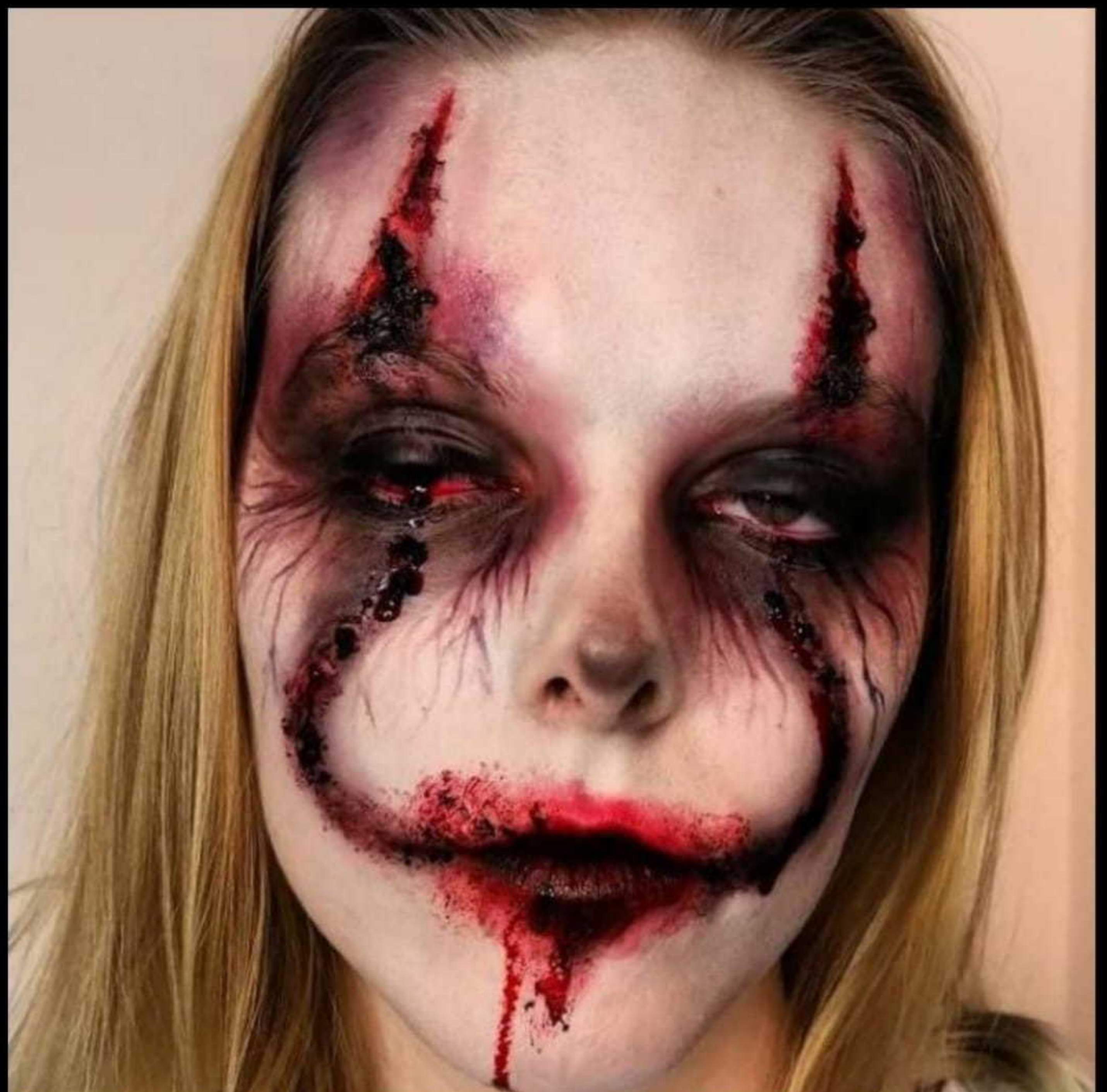
MAQUILLAGE





Ida
Cylwik

Modelka:
Karolina
Rutkowska





Ida Cylwik

Modelka: Karolina Rutkowska





Ida Cylwik

Modelka: Karolina Rutkowska





Ida Cylwik

Modele: Bogumiła Waśko, Maksym Dworcow

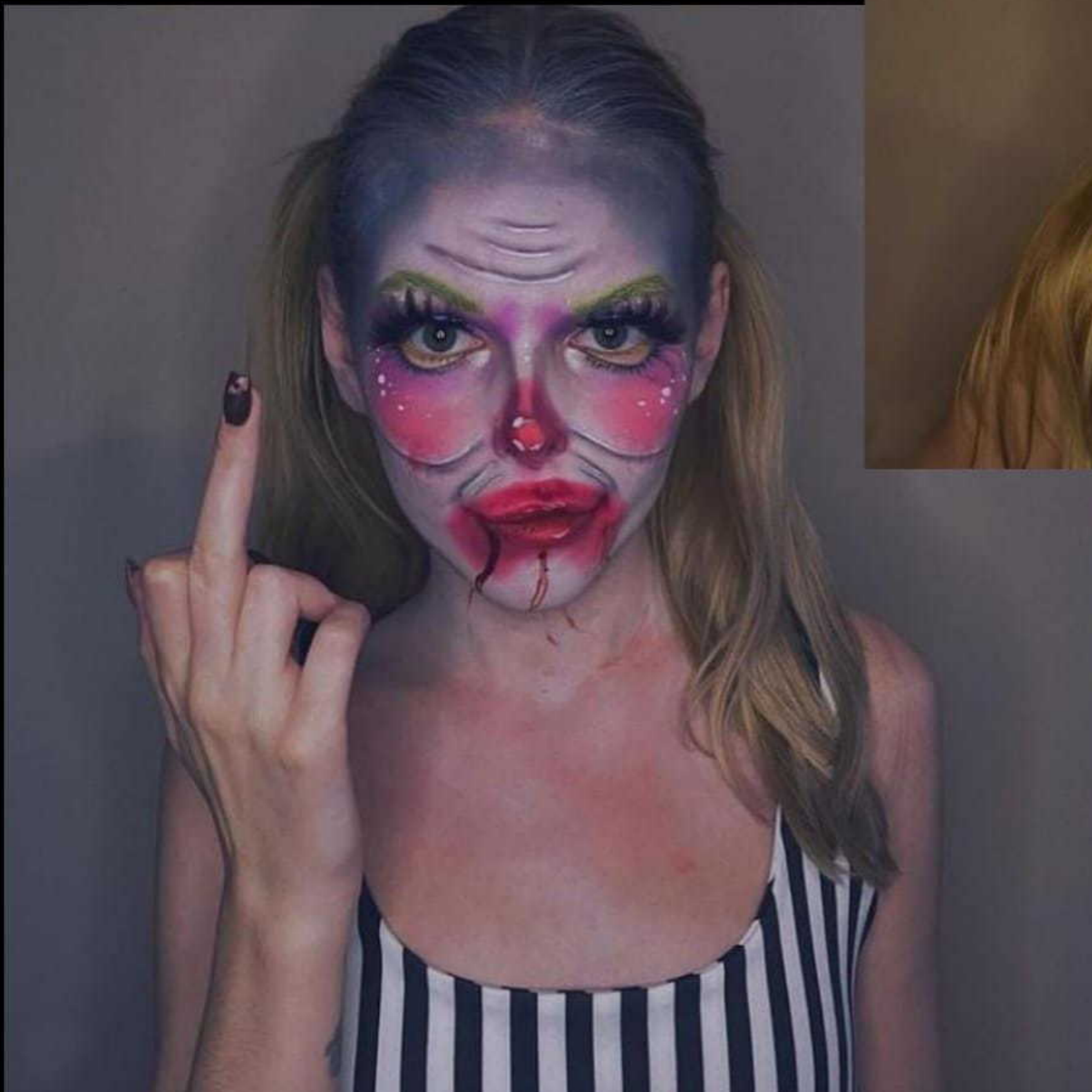
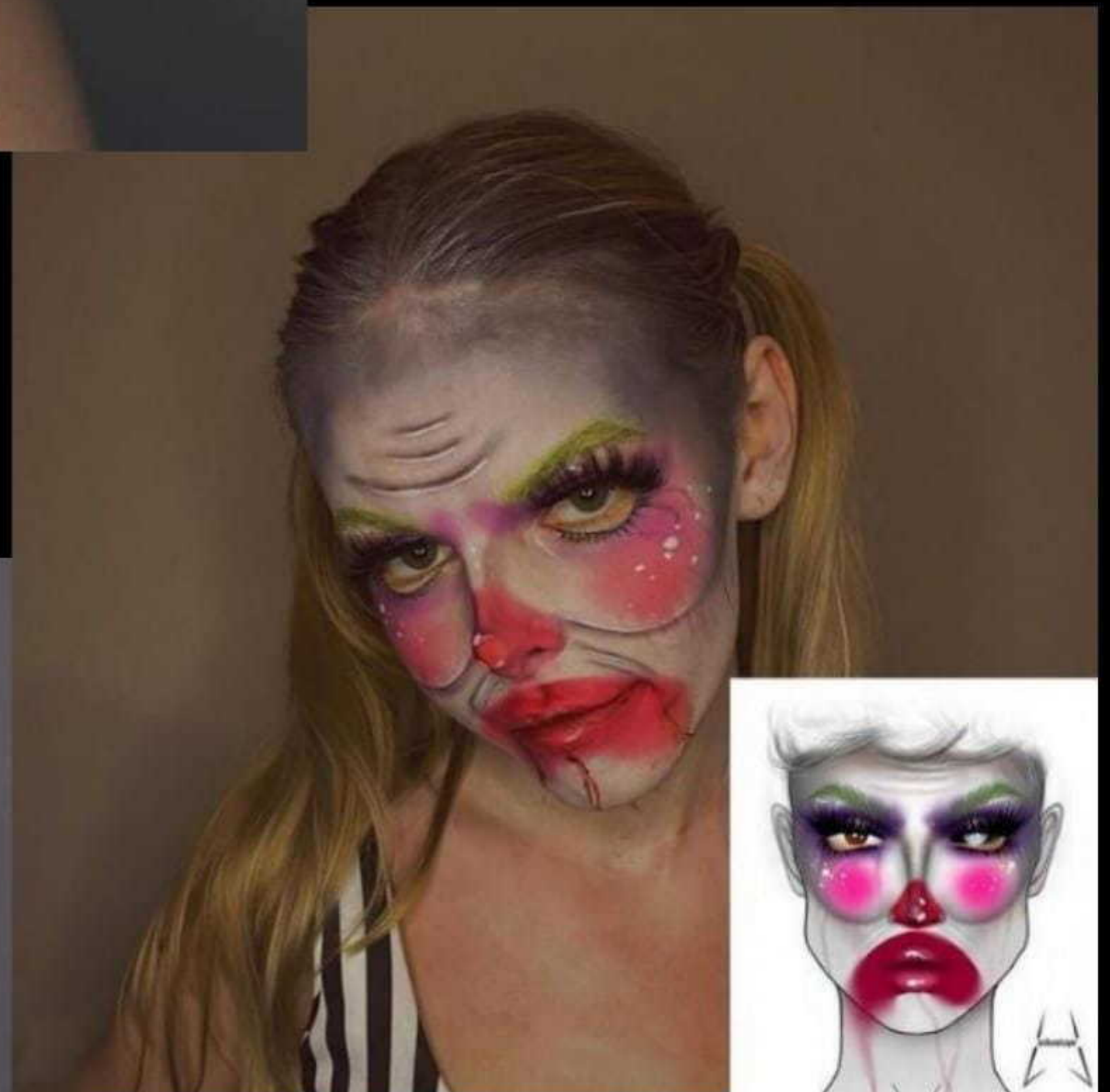


Ida Cylwik



Karolina
Rutkowska





Karolina
Rutkowska

Projekt: @judastape



Karolina
Rutkowska

Modelka:
Ida Cylwik



Karolina
Rutkowska

Model: Damian Kowalski





Karolina
Rutkowska



Modelka:
Ida Cylwik

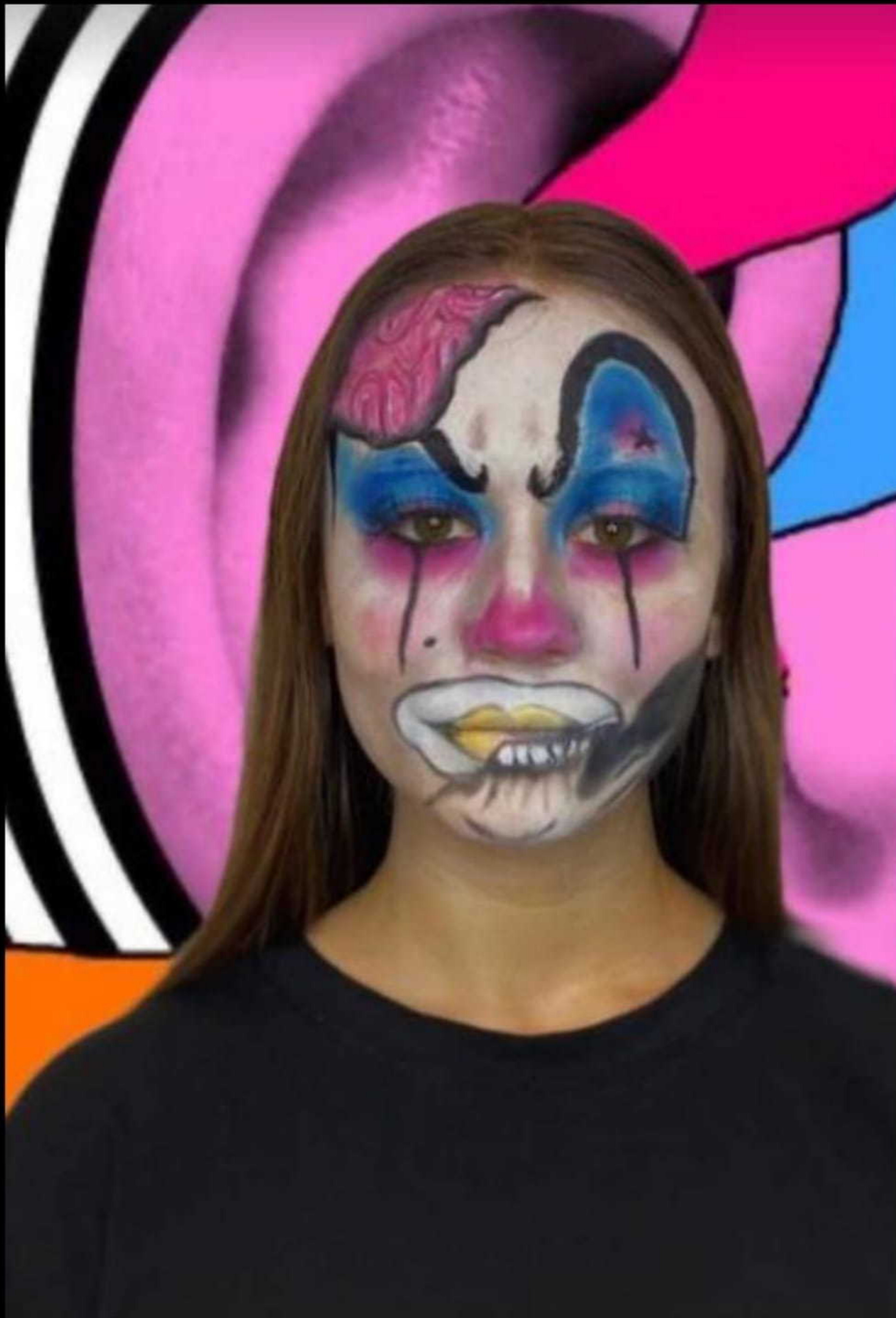


Karolina
Rutkowska

Modelka:

Kamila
Rutkowska





Karolina Rutkowska

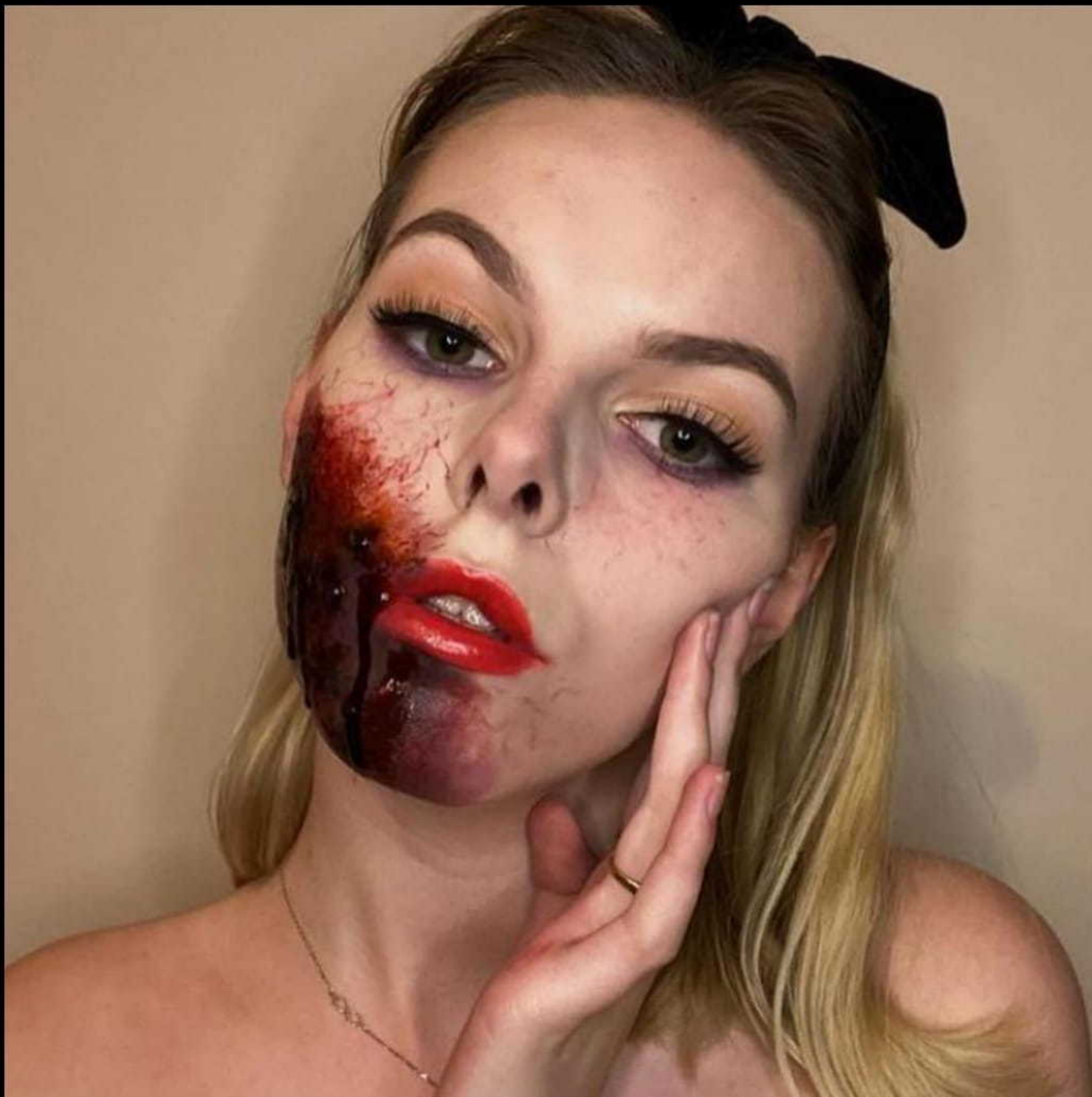
Modelka: Ida Cylwik



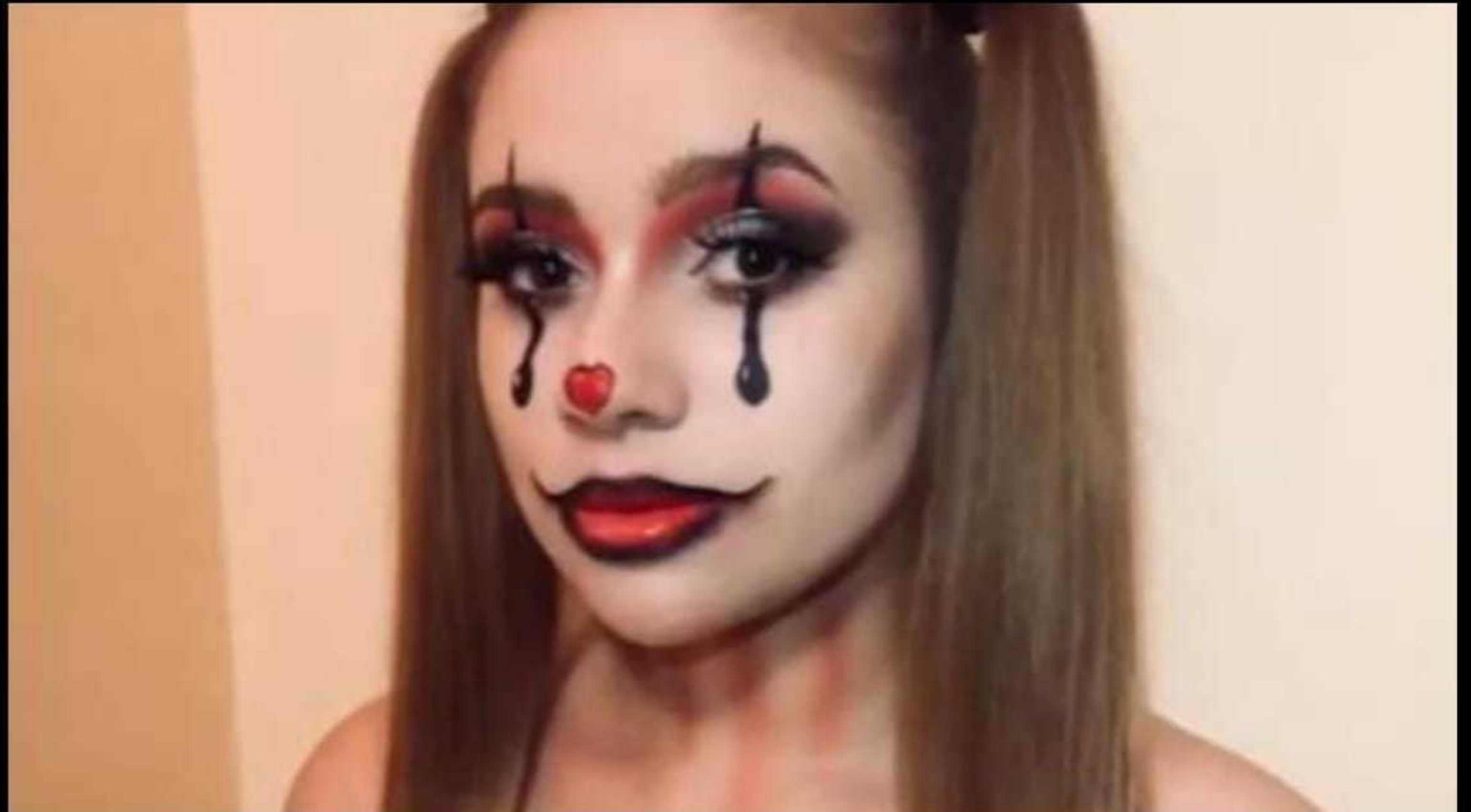


Karolina Rutkowska



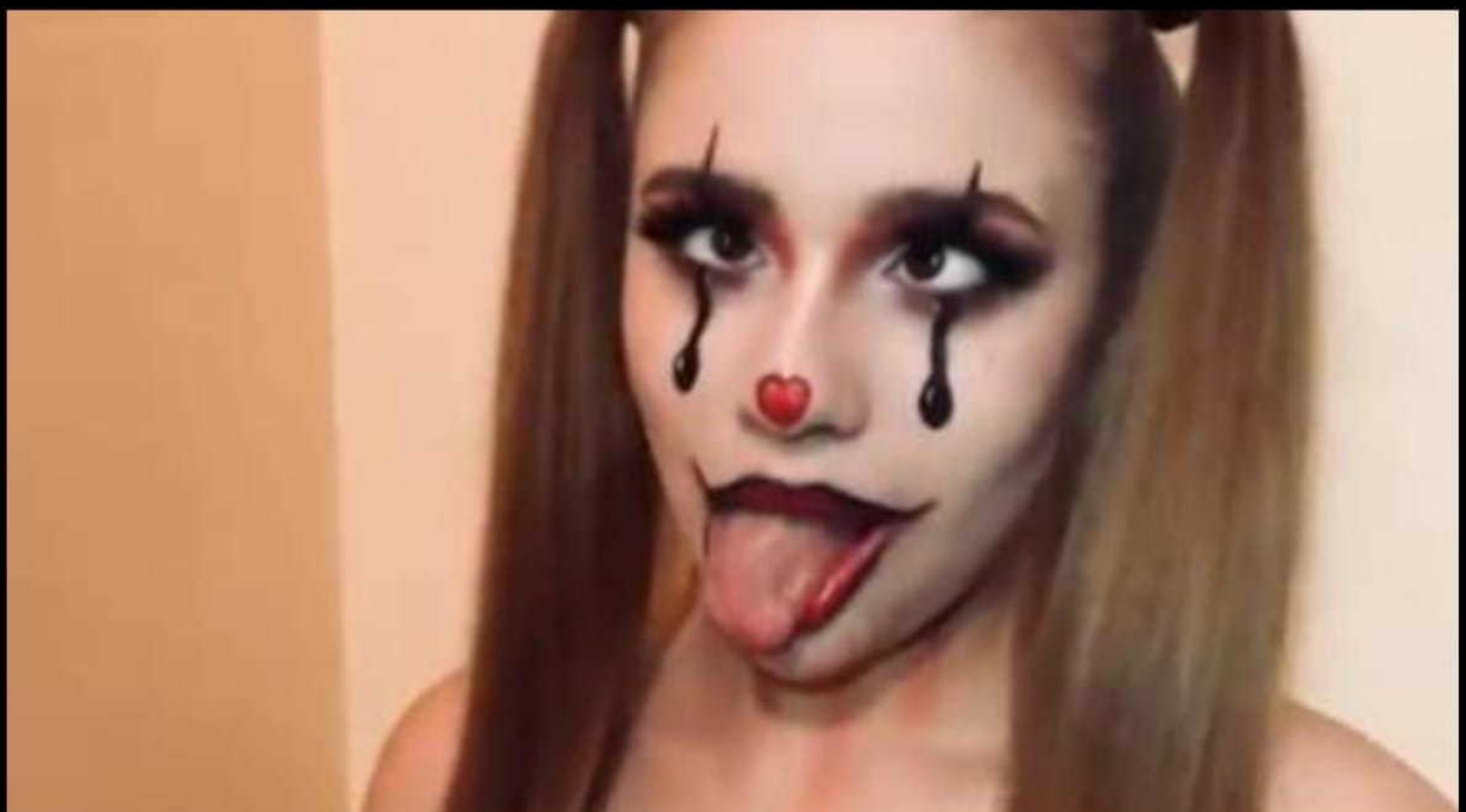
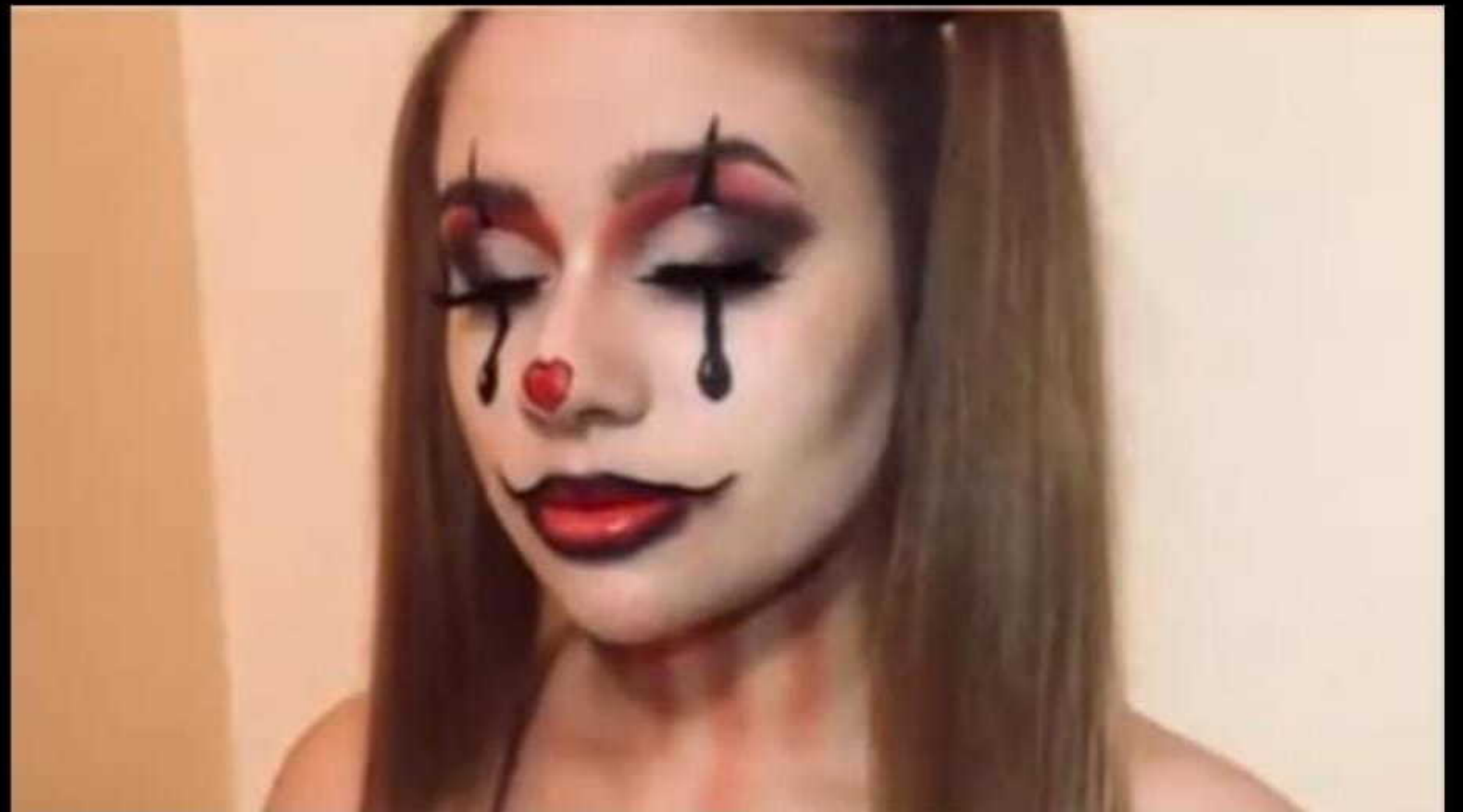


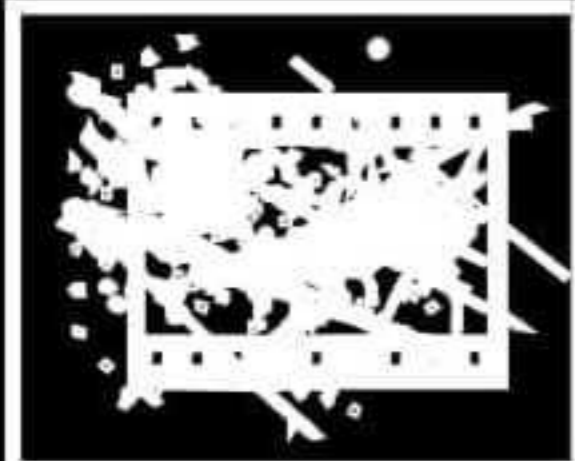
Karolina
Rutkowska



Karolina
Rutkowska

Modelka:
Weronika Szpuła





ΦΟΤΟΓΡΑΦΙΑ





Aleksandra
Wucka









Ola August

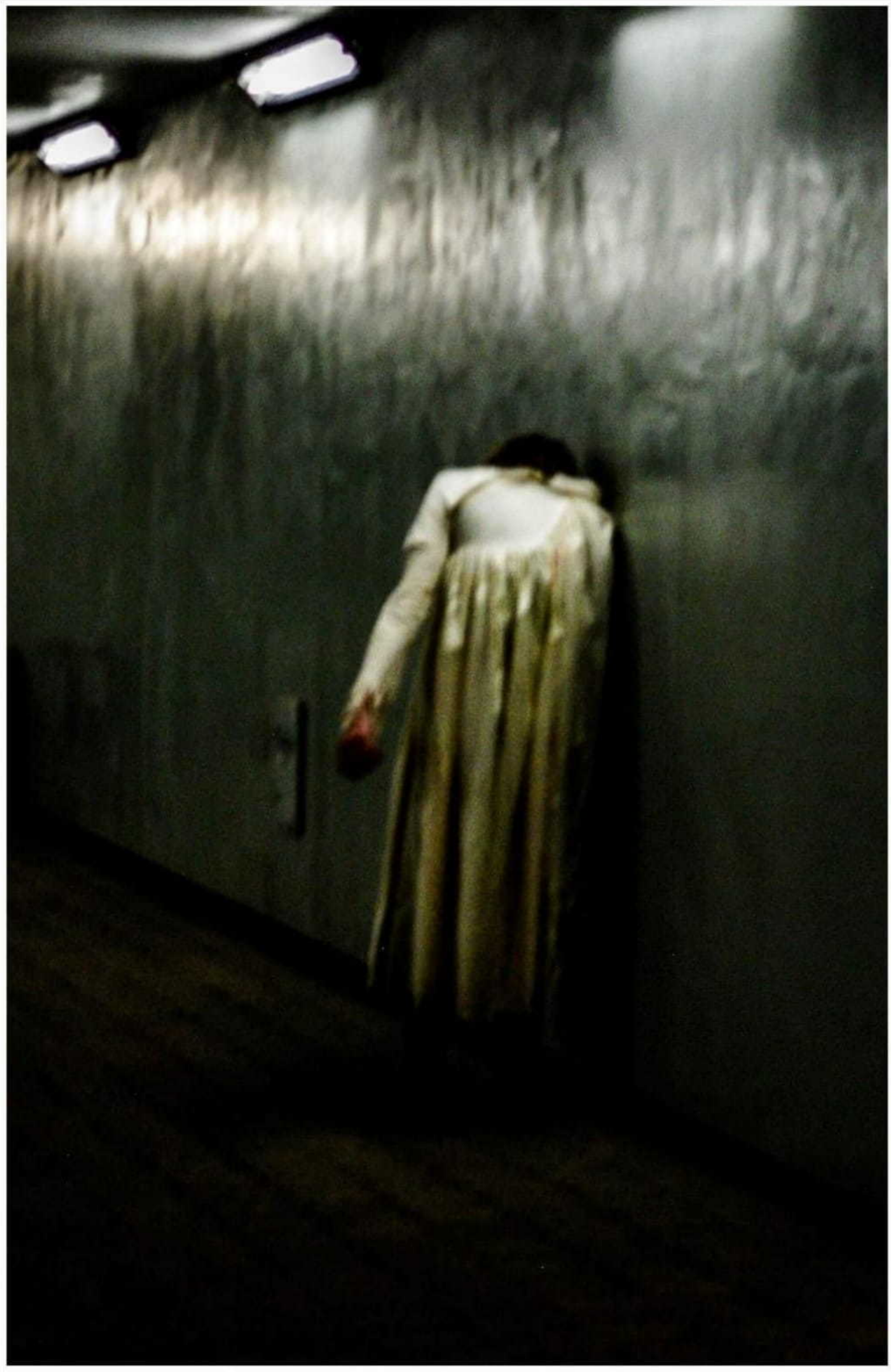






Jakub Wedeł













Ula Sikora



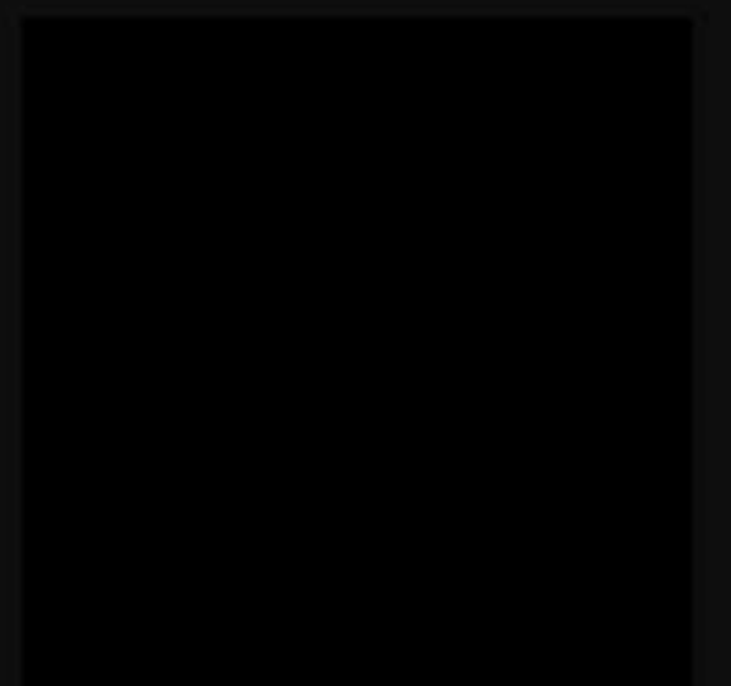




Projekt video-poetycki
„Dwie Dziewczynki z Domu Zmarłych Ludzi”
można zobaczyć na fanpage’u
„Pamiętnik Nocnicy”



PLEBISCYT



Aoto i historyczna chwila. Po raz pierwszy na łamach AlmanaXu ogłaszamy wyniki plebiscytu na „Naj”.

Aktualna edycja cieszyła się ogromną popularnością. W głosowaniu wzięły udział dwie osoby, co jest fantastycznym sukcesem, ponieważ w poprzedniej nikt nie wziął udziału. Gdyby nie to, że zero pomnożone przez dwa daje nadal zero, można by napisać, że frekwencja wrosła dwukrotnie. No ale takie kreatywne księgowości zostawimy dla Pinokia.

Przedmiotem plebiscytu był wybór najlepszego kadru niemieckiego ekspresjonizmu filmowego. W ramach eksperymentu prawo do oddania głosu przysługiwało jedynie Autorkom/Autorom i Redaktorkom/Redaktorom AXu. Można było zgłaszać po trzy propozycje. Prosta arytmetyka wskazuje, że otrzymaliśmy ich aż sześć. W drodze wyjątku i z powodu ~~mizerniej~~ parzystej liczby uczestników zdecydowaliśmy się miejsca rozdzielić *ex aequo*. Twórcom wszystko jedno i tak już straszą w Krainie Nieczynnych Praw Autorskich. Kierowaliśmy się dodatkowo kolejnością nadsyłania proponowanych kadrów.

Uczestnikom dziękujemy! Redakcja funduje Budyń „Babelsberg” przy najbliższej okazji.



Najlepsze kadry niemieckiego ekspresjonizmu filmowego

Trzecie miejsce – ex aequo



Das Cabinet des Dr. Caligari [*Gabinet doktora Caligari*] reż. Robert Wiene, zdj. Willy Hameister (1920).
Zgłaszająca: Weronika Orzechowska



Der müde Tod [*Zmęczona śmierć*] , reż. Fritz Lang, zdj. Erich Nietzsche, Hermann Saalfrank,
Fritz Arno Wagner (1921). Zgłaszający: Maciej Lipa

Drugie miejsce – *ex aequo*



Der letzte Mann [Portier z hotelu Atlantic], reż. Friedrich Wilhelm Murnau, zdj. Karl Freund, Robert Baberske (1924). Zgłaszająca: Weronika Orzechowska



Metropolis, reż. Fritz Lang, zdj. Karl Freund, Günther Rittau (1927). Zgłaszający: Maciej Lipa

Pierwsze miejsce – ex aequo



Nosferatu, eine Symphonie des Grauens [*Nosferatu, symfonia grozy*], reż. Friedrich Wilhelm Murnau, zdj. Fritz Amo Wagner (1922). Zgłaszająca: Weronika Orzechowska



Faust – eine deutsche Volkssage [*Faust*], reż. Friedrich Wilhelm Murnau, zdj. Charles Lang (1926). Zgłaszający: Maciej Lipa



SYLWETKI





Pomór to trójmiejski zespół black/death metalowy, działający od 2018 roku w składzie klasycznego trio (gitara, bas, gary). W Bibliotece z Nag Hamadi odnaleźliśmy następujący tekst gnostycki, który ujawnia tajemnicę powołania kapeli do życia. Tak przynajmniej wydaje się Redakcyi, gdyż tekst hermetyczny jak sama *Tabula Smaragdina* i *Picatrix* wzięte razem:

„W ramach tajnych badań zamknięto trzy osoby na dwa lata w odosobnionym ośrodku badawczym pod Dantzig. Z połączenia trzech wirusów powstała nowa epidemia.

Skład dostrzeżony pod mikroskopem:

Svierszcz (wokal, bas) Hudy (gitara), Simon (perkusja).

Pierwsze symptomy globalnej infekcji zauważono na festiwalu Pewel Forever.

Przygotowano osiem nowych zarazków, którymi skażona została Ziemia.

Artysta Krzysztof Iwin podjął się graficznej oprawy nowej Czarnej Śmierci. Pierwsza wizja, «Żniwiarka», została zakażona wirusem i ulega powolnemu gniciu. Do tej pory brak antidotum na nowy czynnik chorobotwórczy.

☠ ☠ ☠ Pomór z Wami ☠ ☠ ☠”.

Po skorumpowaniu kilku agentów służb, wręczeniu łapówek kelnerom w lokalach gastro, a wreszcie po nakłonieniu do współpracy portiera z hotelu Atlantis, udało się ponadto ustalić, że muzycy tworzący Pomór są weteranami następujących formacji:

Yattering (death metal) – Svierszcz i Hudy

Nyia (grindcore + jazz + death metal) – Svierszcz

Sainc (heavy metal bran szeroko) – Svierszcz

Ogotay (death metal / grindcore) – Svierszcz i Simon

Alienacja (punk → deathcore) – Simon

Pandemonium (black / death metal) – Simon

Soma White (Artpop+Prog+Elektronika+ Ambient) – Hudy

Obecnie Svierszcz pogrywa sobie także na magisterskich z wiedzy o filmie na UG. :D



Pomór. Zdjęcia z planu teledysku *Córa złego powietrza*, fot. Krystian Chudzikiewicz (©).
Powyżej: załoga w ataku. Poniżej: Lady Sariel w roli „Żniwiarki”.



Na poprzedniej stronie:
„Żniwiarka” (2019) oraz logo zespołu
autorstwa Krzysztofa Iwina.



Svierszcz, kiedy nie robi pilnie notatek z teorii dzieła filmowego (zdjęcie © Anna Terlecka „Wadera”).



Simon (fot. © Anna Terlecka „Wadera”)



Hudy (fot. © Anna Terlecka „Wadera”)



Córa złego powietrza – zdjęcia z planu teledysku © Krystian Chudzikiewicz



Córa złego powietrza – zdjęcia z planu teledysku © Krystian Chudzikiewicz



Córa złego powietrza
– zdjęcia z planu teledysku
© Krystian Chudzikiewicz

Więcej o kapeli (inspiracje, techniki, instrumentaria) dowiedzie się z wywiadu przeprowadzonego przez Marcina Makarę i Łukasza Byczkowskiego tu:

<https://www.youtube.com/watch?v=kwAm2oDh6JI>

A posłuchać można tu:

Malleus Maleficarum (LIVE, United Arts Festiwal Gdańsk 14.08.21.):

https://www.youtube.com/watch?v=OUi_L0hSYLQ

Córa złego powietrza (LIVE, Pewel Forever festiwal 28.07.19):

<https://www.youtube.com/watch?v=TPSdIhUj3M>

Rytuał (sala prób):

<https://www.facebook.com/watch/?v=1371138129942307>

Zapowiednik teledysku „Córa złego powietrza”:

<https://youtu.be/OHVThdT8Yf4>

Wywiad Makary i Byczkowskiego o kręceniu teledysku:

https://www.youtube.com/watch?v=FdxHMsFR_IU

Fotki z tego procederu:

<https://www.facebook.com/media/set/?vanity=pomoor&set=a.1961010764047703>

Fanpage tutaj:

<https://www.facebook.com/pomoor>

A tutaj Inst:

<https://www.instagram.com/pomorband/>



Krzysztof Iwin, *Córa złego powietrza* – projekt okładki (2019)



WYWIAD



Rażeni prądem

Z liderem zespołu wokalny-muzycznego Iron Midžen rozmawia specjalny wysłannik *AlmanaXu in partibus infidelium* – **Marcin Makara**

DZIENNIKARZ: Naszym dzisiejszym gościem jest lider ciężkiego, death metalowego zespołu Iron Midžen, Tuman Ajara.

Może na początku, opowiesz nam, jak to robicie, że wasza muzyka, ma mocne garażowe brzmienie, podobne do wielu death metalowych zespołów z początku lat 90-tych?

TUMAN: Od samego początku istnienia naszego zespołu wszystkie materiały nagrywamy w trzypokojowym mieszkaniu moich rodziców, w wieżowcu, gdzie niezmiennie mieszkam od urodzenia. Perkusja jest ustawiona w dużym pokoju, gitara i bas w dwóch następnych, ja śpiewam w łazience, a sprzęt nagrywający jest w ubikacji, co umożliwia nam uzyskanie wyjątkowego głębokiego pogłosu.

Czy próby zespołu nie mają negatywnego wpływu na wasze stosunki z sąsiadami?

Masz rację, problemy pojawiły się od samego początku. Po kilku zgłoszeniach musieliśmy negocjować z dzielnicowym i na maksymalnie cicho ustawiać wzmacniacze. Centralę w perkusji musieliśmy wypchać pierzyną, a werble poduszkami, talerze przykryć ręcznikami. Ja staram się śpiewać szeptem.

Chyba jest to duże utrudnienie i niewątpliwie ma wpływ na waszą twórczość?

Może trochę, ale jak gramy bez „tłumików”, to sąsiedzi natychmiast dzwonią na policję i kiedyś podczas takiej interwencji, nasz gitarzysta, Dzew, po otwarciu drzwi został porażony prądem.

Znając buntowniczą naturę „metalowców”, pewnie był agresywny w stosunku do funkcjonariuszy?

No nie. Nagrywaliśmy teledysk i wszyscy mieliśmy pomalowane twarze. Policjant zeznał, że się przestraszył, jak usłyszał wrzaski i krzyki zza drzwi, i zobaczył Dżewa w makijażu, to pomyślał, że to prawdziwe zombie, więc od razu sięgnął po paralizator. Dzew potem jękał się przez tydzień, więc teraz staramy się uważać.

Czy to jedyne problemy, jakie napotykalicie w waszej pracy twórczej?

Problemy pojawiają się, gdy schodzimy do podziemia. Najczęściej dzieje się to pod koniec miesiąca, jak tata zaszaleje i nie mamy już pieniędzy na doładowanie przedpłatowego licznika energii elektrycznej. Wtedy przenosimy się z próbami do piwnicy, ale jest tam słaby bezpiecznik, który co chwila się wyłącza. Przeszkadza też wszechobecna wilgoć, przez którą byliśmy parokrotnie rażeni prądem. To przez to, że kable od sprzętu są owinięte zbyt małą ilością taśmy klejącej.

Czym inspirujecie się w waszej twórczości?

Przede wszystkim, nasza muzyka musi spełniać trzy warunki. Musi być szybka, głośna i koniecznie o Szatanie.

Wspomniałeś o Szatanie, czy zdarza ci się uczestniczyć w jakiś rytuałach, pijecie krew, składacie jakieś ofiary?

Oczywiście że tak. Raz miałem okazję pić krew, najczęściej posilamy się kotem.

Czyli składacie koty w ofierze, a potem je jecie?

Nie aż tak dosłownie. Staramy się głównie zachować symbolikę. Podczas rytuałów jemy czekoladowe kocie języczki. Mama kupuje je babci w supermarkecie.

A to picie krwi, kiedy miało miejsce? Był to jakiś rodzaj inicjacji?

Jak byłem mały, to pojechałem kiedyś do cioci na wieś i tam jadłem zupę czerninę. Ciocia dla zachęty, wmówiła mi, że to czekoladowa zupka. Ale potem, kuzyn powiedział mi, z czego jest ta zupa i tydzień chorowałem. Już więcej tam nie pojechałem.

Jesteście dość specyficznie ubrani, jak na gatunek wykonywanej muzyki. Te naturalne przetarcia garderoby i asymetryczne kształty. Skąd pochodzą wasze kreacje?

Korzystam z garderoby babci. Szczególnie z płaszczy. To są wiekowe stroje, często nadgryzione przez ząb czasu, no i mole, dlatego mają dziury. Są asymetryczne, dlatego, że babcia odkrawa fragmenty przeżarte przez mole i podszywa, a że trochę niedowidzi, to nie zawsze uda jej się szyc prosto. Tylko mama nie pozwala tych strojów trzymać w domu, mówi że robaki przynoszę.

Jak długo działacie w branży muzycznej?

Od 1991 roku. Miałem wtedy szesnaście lat.

I cały czas w tym samym składzie?

Oczywiście że nie, skład cały czas ulegał zmianie. Z kilkadziesiąt razy, zmienialiśmy perkusistów, o gitarzystach nie będę nawet wspominał.

Jakimi sukcesami, możecie się pochwalić w ciągu trzydziestu lat twórczości?

A kto by tam spamiętał te wszystkie koncerty? Obecnie gramy w remizach i szkołach gimnazjalnych, parę razy w liceum, tylko to są takie jednorazowe sprawy, nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś nas ponownie zaprosił. Mieliśmy też zagrać w podstawówce. Przynieśliśmy nawet naszą płytę, ale nie oddzwonili. Chyba przerosła ich nasza twórczość.

Ostatnie pytanie. Jak zamierzasz spędzić Halloween?

Będę zbierał cukierki, dlatego że tata zabronił mamie kupowania mi papierosów i słodyczy.



Tuman. Zdjęcie z archiwów szkolnych



Dzew po trafieniu paralizatorem

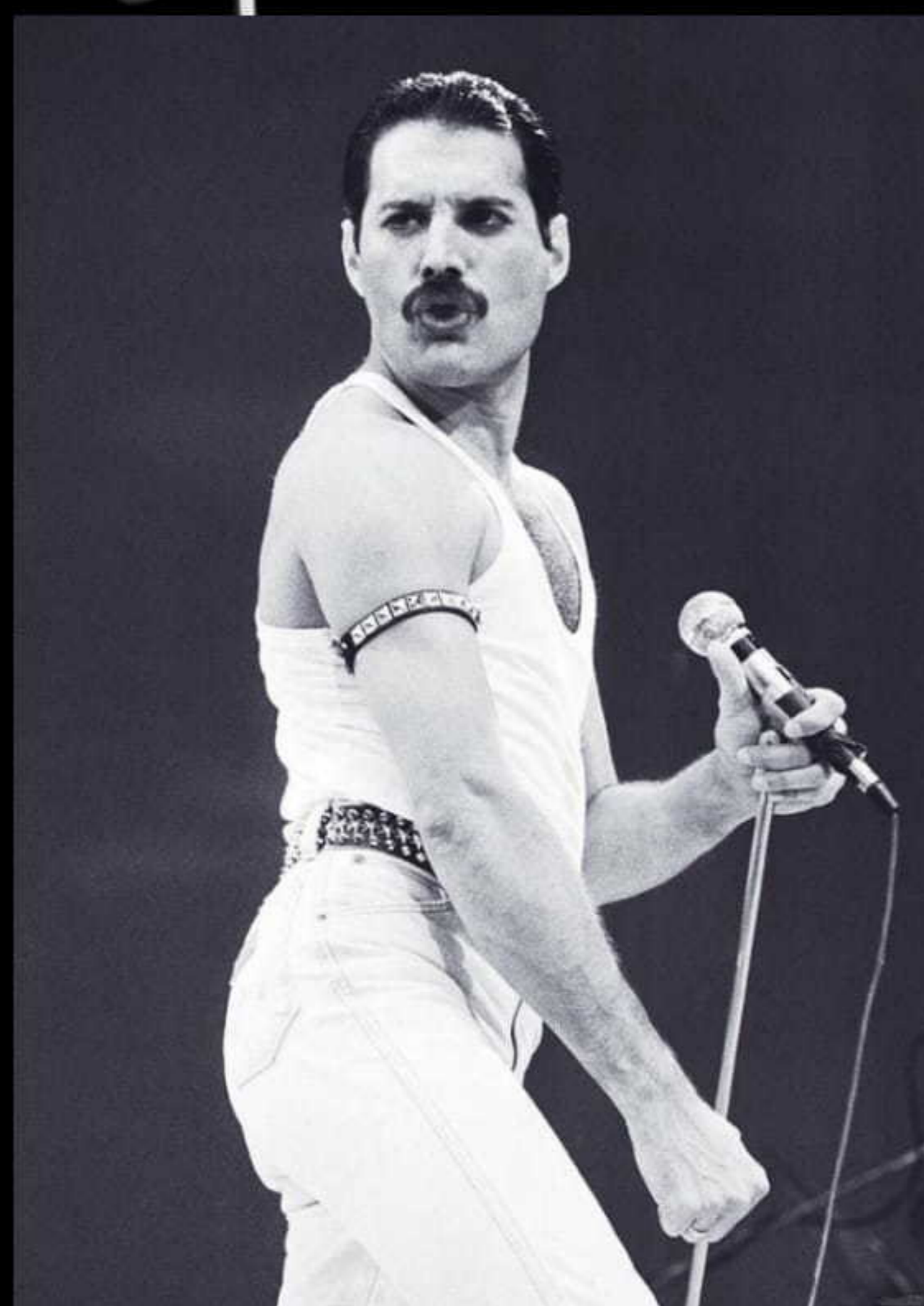


Próby w stołowym



Wiosło mu odfrunęło

Kilka pamiątkowych fotek z koncertów





NOTY BIOGRAFICZNE

Dla zachowania walorów indywidualnej ekspresji Redakcja zdecydowała nie ujednolicać biogramów, pozostawiając je w formie nadesłanej przez Autorki i Autorów, jedynie z rzadka uzupełniając o konieczne drobiazgi. :)

Ola August - jeszcze 19-letnia twórczyni działająca w różnych dziedzinach sztuki. Obecnie studentka ASP na Wydziale Intermediów.

Bartosz Dłubała (2001) - student Wydziału Socjologii UAM, gościnnie publikuje w *AlmanaXie*. Poeta i prozaik. Laureat konkursów literackich, m.in. Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. St. Czernika, Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Dionizego Maliszewskiego. Interesuje się muzyką rockową, ale potrafi grać tylko na nerwach.

Michał Bolek (1989) - skandynawista i polonista (dyplom magisterski na UG - 2021). Do niedawna przewodniczący Koła Naukowego Teoretyków Literatury UG i były członek Naukowego Koła Tłumaczy Literatur Skandynawskich. W ramach studiów napisał pracę dyplomową *Wiersze Tomasa Tranströmera w polskim przekładzie* i ukończył kurs tłumaczenia literatury pięknej na Uniwersytecie w Sztokholmie. Laureat głównego wyróżnienia w Konkursie dla debiutujących tłumaczy zorganizowanym przez Uniwersytet SWPS (2012), uczestnik warsztatów tłumaczenia literatury pięknej z języka szwedzkiego w ramach festiwalu *Odnalezione w tłumaczeniu* (2013) i autor przekładu powieści kryminalnej *Skradziony pawian* (2017). Za dnia tłumacz tekstów specjalistycznych, w nocy - literatury. Obecnie student Szkoły Doktorskiej Nauk Humanistycznych UW.

Ida Cylwik - Jestem studentką kierunku wiedza o filmie i kulturze audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim oraz kostiumografii w MSKPU, a także członkinią ekipy produkcyjnej Wild Wave Produkcja Filmowa, gdzie pełnię funkcję charakteryzatorki i scenografki. Interesuję się szeroko pojętą sztuką - malarstwem, filmem, fotografią, modą, makijażem. Dużo maluję -

czasem tworząc artystyczne charakteryzacje na twarzy, czasem wykorzystując tradycyjne płótno.

Bartosz Dłubała (ur. 2001) – student Wydziału Socjologii UAM, gościnnie publikuje w „AlmanaXie”. Poeta i prozaik. Laureat konkursów literackich, m.in. Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. St. Czernika, Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Dionizego Maliszewskiego. Interesuje się muzyką rockową, ale potrafi grać tylko na nerwach.

Jakub Kraszewski (1998) – początkujący pisarz z mnóstwem niezrealizowanych pomysłów, miłośnik horrorów klasy B, komiksów, kawy specjalty i gier retro. Od przeszło dziesięciu lat maluje figurki do Warhammera, od około roku zajmuje się tworzeniem muzyki. Na co dzień student drugiego roku studiów magisterskich na kierunku wiedza o filmie i kulturze audiowizualnej.

Marcin Makara (rocznik 1974) – scenarzysta, reżyser, aktor. Student II roku magisterskiego wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej. Zajęcia: produkcja filmowa, administracja, obrót nieruchomościami. Dotychczasowe publikacje – w magazynie filmowym „Cinerama”. Laureat III nagrody na konkursie filmów jednodominutowych „Refleks;ja” za *Wędrówkę duszy* (2018). Autor scenariusza i reżyser filmu *Inkluzja* prezentowanego na festiwalu *Cinerama Fest 2021*. Czynn timer zaangażowany w TV Neptun. Kocha kino i aktywność fizyczną.

Selma Lagerlöf (1858-1940) – wybitna pisarka szwedzka, laureatka literackiego Nobla w roku 1909 i pierwsza członkini Akademii Szwedzkiej. Tak, to właśnie ona napisała *Cudowną podróż* (*Nils Holgerssons underbara resa genom Sverige*, 1906-07).

Dominik Raciński – kinofil, amatorski script doctor, sporadyczny prozaik i poeta. Jest studentem trzeciego roku wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej i w trakcie tych studiów miał okazję pracować przy kilku studenckich filmach. W wolnym czasie fotografuje Gdańsk, odnajduje i digitalizuje stare zdjęcia oraz prowadzi sesje RPG.

Karolina (Karołka) Rutkowska – absolwentka Wyższej Szkoły Zdrowia w Gdańsku na kierunku kosmetologia; wizażystka samouk oraz początkująca charakteryzatorka. Makijażem zainteresowałam się około 6 lat temu i wtedy też zaczęłam tworzyć pierwsze podstawowe makijaże „upiększające”, a charakteryzacja pojawiła się rok temu, kiedy to poczułam chęć robienia czegoś więcej – można

powiedzieć: czegoś ciekawszego niż klasyczne makijaże ślubne. W tym też bardziej się odnajduję: jest to moje hobby, a w przyszłości - mam nadzieję - także praca.

Julia Rynkowska (2000) - aspirująca reżyserka i scenarzystka, dorywczo prozaiczka. Studentka III roku Wiedzy o Filmie i Kulturze Audiowizualnej. Zafascynowana kinem gatunkowym, równie gatunkowymi powieściami oraz z jakiegoś dziwnego powodu - historią powszechną.

Ula Sikora (1998) - gdańszczanka i studentka psychologii na Uniwersytecie Gdańskim. Publikowana w „Autografie”, „Blizie”, „Stronie Czynnej” oraz zbiorowych tomach poezji i prozy. Aktywna slamerka. Plan na życie: gdzieś daleko w ciszy głaskać świnię.

Paulina Sokólska - Twoja przyszła ulubiona minstrelka, o której nigdy nie słyszałeś. Studentka III roku polonistyki, urodzona w 1999 nad morzem; mentalnie - w latach 20, gdzieś na Kresach. Redaktorka działu „Proza. W stronę liryki” w AlmanaX-ie.

Marcin Świerczyński (Svierszcz) - rocznik '75; kompozytor, wokalista i basista. Współzałożyciel zespołu Yattering. Właściciel wytwórni muzycznej Chaos III Production. Od 2004 roku wokalista i basista zespołu Sainc, od 2011 - formacji Ogotay. Od 2018 lider death / black metalowego Pomoru. Współpracował ponadto z formacją Nyia. Studiuje na magisterskich latach wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej.

Jakub Wedeł - student wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej, aktualnie tworzący portfolio filmowe, aby w przyszłości dostać się do Gdyńskiej Szkoły Filmowej (reżyseria). Od wczesnej młodości zafascynowany kinem grozy. Personalnie wielki fan muzyki metalowej oraz twórczości Edgara Allana Poe.

Aleksandra Wucka (1996) - gdańszczanka. Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim, słuchaczka Trójmiejskiej Szkoły Fotografii (TSF) w Gdyni. Zainteresowana filozofią oraz literaturą polską i powszechną XIX i XX wieku. Miłośniczka mody, architektury, designu i kotów wszelkich.

W przygotowaniu

Już wkrótce trzeci, jesienny numer almanachu.



ALMANAX

STUDENCKI

2021 VOL. 1

NR 3. JESIEŃ



ALMANAX

ALMANACH TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ STUDENTÓW UG

KOŁO NAUKOWE TEORETYKÓW LITERATURY UG

PRACOWNIA HISTORII I TEORII FANTASTYKI

VOL. 1 (2021), ZS 2 *AX GOES CREEPY*



PATRONAT:

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UG

INSTYTUT FILOLOGII POLSKIEJ UG

